

ZYGMUNT NOWAKOWSKI



PUHAR KRAKOWA

INTERIM TREASURY COMMITTEE
FOR POLISH QUESTIONS,
Educational Branch,
Editorial Dept.
1, Buckingham Palace Mansions,
Buckingham Palace Road,
London, S.W.1.

PUNAN KRASUWA

ZYGMUNT NOWAKOWSKI

PUHAR KRAKOWA
PO ZIEMIACH POLSKICH

PUHAR KRAKOWA

W CYNIE TYM UKAZAŁY SIĘ :

A. JAKOWSKI — W Górze
I. KOSOWSKI — Nałęcz
K. MARUSZYŃSKI — Uściech Lwowa
C. MORCINIŃSKI — W zabudowanym mieście
H. MORTKOWICZOWNA — Erazm
E. SZEPURCZAK — Tarnobrzeg

1901

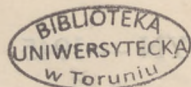
1901

Copyright in Great Britain, 1945.

First published, June 1945.

Made and Printed by

S. Lewis & Co., 48, Rochester Row, Westminster, S.W.1.



138 0378

I

W ZIELONYM PIERŚCIENIU

Antek przyjechał z Rzeszowa osobowym o piątej po południu. Naturalnie, bez pozwolenia matki, która nawet o tem słyszeć nie chciała.

— Ucz się, zamiast biegać!

To samo w szkole mówili mu nauczyciele. Zwłaszcza gdy w zawodach Resovia — Hasmonia przemyska wziął pierwszą nagrodę w biegu na 2000 metrów i drugą w skoku o tyczce. Drukowali jego nazwisko w „Przeglądzie Sportowym“. Była tam i fotografia. I to zgubiło Antka. Wtedy bowiem Stachowicz machnął ręką nad Antkiem. A Stachowicz był gospodarzem klasy i uczył łaciny. Lechnicki, ten od historii, wobec całej klasy powiedział o Antku „Stracony“. Ale kapitan jakiś, który po zawodach rozdawał nagrody, gratulował serdecznie, mówiąc, że za kilka lat Antek będzie asem w biegu. Do niego należą rekordy.

Dlatego też Antek, przeczytawszy o tym biegu okrężnym Krakowa, nie mógł spać. Listownie zgłosił się i czekał z bijącym sercem nadejścia tej czerwcowej niedzieli. A trenował, ile się dało. No, i pojechał, zostawiwszy matce karteczkę, żeby się nie bała o niego. Wróci jutro przed wieczorem.

Po zapłaceniu biletu zostało mu ośmdziesiąt trzy grosze. Ale przecież w Krakowie ma ciotkę. Przeprowadziła się i mieszka teraz na Kalwaryjskiej 35. Antek nie wie, gdzie jest Kalwaryjska, dojdzie więc do rynku i tam spyta kogoś. A ciotce powie, że przyjechał na wycieczkę ze szkołą. E, jakoś to będzie!

W Krakowie był kilka razy i drogę do rynku zna doskonale. Z dworca odrazu wszedł w Basztową. Po lewej ręce jest teatr Słowackiego, dalej Brama Florjańska. Po prawej pomnik Grunwaldzki. Tak, idzie dobrze. Na kiosku przy Placu Matejki zobaczył afisz „Bieg okrężny o puchar Krakowa“. Zawodników stu trzydziestu. Nr. 57 Antoni Zwoliński...

— 57! Dobry numer!... Kusociński ma dwudziesty trzeci... Ale podobno nie przyjedzie. Nadwreżył sobie ścięgno w Barcelonie...

Trasa biegu idzie z pod Pałacu Prasy przez ulicę Gertrudy następnie Placem Bernardyńskim, Rybakami, Podzamczem, dalej — ciągle wzdłuż Plant — ulicą Straszewskiego, Podwalem, Dunajewskiego, Basztową, Andrzeja Potockiego i wraca pod Pałac Prasy, gdzie zwycięscom rozdane będą nagrody.

— Trzeba obejrzeć sobie dzisiaj tę trasę. Dopiero pół do szóstej. Jeszcze zdążę do ciotki przed nocą.

Spytał o Pałac Prasy i najkrótszą drogą przez Szpitalną, Mały Rynek i Sienną dostał się pod gmach Kurjerka. Cały budynek szumiał jak ul, dygotał od nieustannego ruchu motorów, które o tej porze wyrzucały dziesiątki, setki tysięcy gazet na całą Polskę. Przez wielkie szyby widać było wnętrze gmachu. Parter zajmowały olbrzymie maszyny drukarskie. Same, nietknięte ręką ludzką, fruwały nieskończenie długie wstęgi białego papieru. Rozwijały się z zawrotną szybkością, podkładały pod jakieś walce, z pod których ukazywały się znowu, ale już zadrukowane. Potem chwytala je w szpony druga maszyna. Papier znikał w jej czeluściach i w chwili później wytryskał, nabrawszy innych kolorów. Koła, walce i pasy śmigwały w powietrzu. To, co jutro czytać miały dalekie miasteczka naszych kresów wschodnich i zachodnich, porywały automobile, wioząc na kolej. Coraz nowe i nowe stosy dzienników wypływały z pod stalowych walców. Gmach cały kipiał, gotował się, a białe gazety buchały, jak para gorąca, z pod pokrywy.

W pewnej chwili Antek, widząc, że rozmaici ludzie, niepytani przez służbę, wchodzą i wychodzą, zaryzykował sam i znalazł się w środku gmachu, w wielkiej, jasnej sieni. Cztery piętra strzelały w górę. Na pierwszym, już prawie pustem, kończyli swoją robotę zecerzy, nad nimi była redakcja, gdzie przy biurkach, lub schyleni nad maszynami do pisania, wśród kłębow dymu siedzieli rozmaici panowie i panie.

— Jak oni mogą pisać w takim piekle! — pomyślał Antek. — I jeszcze ta farba drukarska czy smar jakiś, od którego mnie już łeb boli!... Zwarjowałbym do jutra!...

Rzeczywiście, gmach przepojony był ostrym zapachem, hałas zaś panował nieopisany. Dwie windy, oprócz schodów, łączyły piętra. Kilkuset ludzi pracowało obok siebie, mury tętniły echem motorów. Ruch nie ustawał ani na sekundę. Woźni, gońcy, maszyniści, zecerzy biegali po piętrach, dzwoniły telefony, drzwi otwierane raz po raz trzaskały głośno, nazewnątrz gmachu trąbiło radio przez wielkie megafony. I wszystko ruszało się coraz prędzej, prędzej i prędzej!... A z tego opętańczego ruchu rodziła się wielka gazeta, która docierała do wszystkich zakątków Polski. Pojutrze będzie w niej opisany rezultat biegu. Puhar...

— Rany Boskie! bo ja nie zdążę obejrzeć sobie trasy! A potem trzeba jeszcze iść na Kalwaryjską, do ciotki!

Oderwał się więc Antek od widoku maszyn i wyszedł przed gmach. W tej chwili odezwała się daleko i wysoko trąbka. To z widnej ponad gęstwą dachów wieży Marjackiej grał hejnał. Potem uderzyły kolejno rozmaite zegary. Szósta!

Ulica Gertrudy jest na lewo. Krzyżowały się w tem ruchliwym miejscu linie tramwajowe, i Antek czekać musiał, aż zrobiło się

łuźniej. Jutro tu padnie strzał i zaczną się start. O dwunastej... Ulica Gertrudy idzie prosto. Po lewej ściana domów, po prawej druga, zielona ściana Plant. Gdzieś wysoko ponad niemi wystrzela kopuła kościoła. To chyba św. Piotr — pomyślał Antek. Był tam kiedyś z matką i dobrze pamięta: wejście od Grodzkiej. Przed kościołem posągi dwunastu Apostołów. Kościół olbrzymi. W prezbiterjum grób Skargi. Obok zaraz, drugi kościół, św. Andrzeja. Niewielki, otoczony murem. Wytrzymał oblężenie Tatarów w roku...

— W którym to było roku?... Tysiąc dwieście... Nie pamiętam. A w poniedziałek jest historia... I znowu stary Lechnicki powie: „Zwoliński, zamiast zawracać sobie głowę jakimiś rekordami, lepiej było posiedzieć nad książką! Jaki to książę panował wtedy, gdy Tatarzy wpadli do Krakowa? Bolesław Wstydlivy?... Nie! Bolesław Wstydlivy wstąpił na tron w dwa lata później, a ty powinieneś się wstydzić! Taki porządny doniedawna uczeń i tego nie wie! Puhar dostałeś, ale ode mnie dostaniesz dwóję. I to oblewana...

Odpędził Antek niedobre myśli i szedł dalej ulicą Gertrudy aż pod Plac Bernardyński. Tu urwały się na chwilę Planty, wyrósł zaś przed Antkiem Wawel. Ogromny, wyniosły, pełny baszt. Antek musiał obejść go dołem, po lewej ręce mając kościół i klasztor Bernardynów. Już przy Rybakach a potem z Podzamcza zobaczył w dolę świecącą pod zachód Wisłę i daleko poprzez most Dębnicki klasztor Norbertanek. Jeszcze dalej, we mgle jakby, rysowały się Bielany. Skręcił w ulicę Straszewskiego. Tu znowu są Planty, już tym razem nieprzerwane ani na chwilę. Zielony pierścień kasztanów dookoła śródmieścia. Teraz jest chłodny i przyjemny wieczór, ale jutro o dwunastej będzie tu ciepło! Jezus Marja!

Przeszedł całą ulicę Straszewskiego. U jej końca ujrzał czerwony, obłany słońcem Uniwersytet, na lewo zaś ciągnęła się prosta jak strzała ulica Wolska i gdzieś na samym końcu, za Błoniemi, wykwiłał kopiec Kościuszki. Od Błoni wracały tłumy ludzi z meczu piłki nożnej. Cracovia — Garbarnia 2 : 2. Nierozstrzygnięty, ale to dopiero początek rozgrywek ligowych...

Słuchając rozmów powracających widzów, Antek szedł dalej wzdłuż Plant. Minał kościół Kapucynów. Wiem, tam święcił szablę Kościuszko w roku... Mniejsza z tem! Zaczyna się Podwale. Na prawo zielone wieże św. Anny. Przy zbiegu Szewskiej i Karmelickiej ruch ogromny. W kawiarniach grają orkiestry. Niema czasu na słuchanie. Siódma bije na ratuszu!

Przyśpieszył kroku, idąc ulicą Dunajewskiego, która jakby lekko podnosiła się do góry. Jezdnia wyłożona asfaltem. Jutro będzie palił stopy! To chyba już trzy czwarte trasy, wypada myśleć o finiszu. Od pomniczka Rejtana jeszcze bardziej w górę. Zato od rogu Długiej, t. j. od gmachu Izby Handlowej, idzie już lekko wdół wzdłuż Akademii Sztuk Pięknych, placu Matejki i Województwa. Potem, ciągle wzdłuż Plant, ulicą Andrzeja Potockiego, pochyłość wzrasta.

Ostatnich sto metrów koło Straży Pożarnej i Poczty leci się ostro wdół. No, i Pałac Prasy. Meta!

O wpół do ósmej znalazł się Antek w rynku i spytał jakiegoś pana o ulicę Kalwaryjską. Dowiedział się, że to kawał drogi, na Podgórzu. Zrobiło mu się zimno. Ciotka chodzi spać bardzo wcześniej. Jak ją zbudzi, będzie w złym humorze. Zacznie dopytywać się o wszystko... Żle!... Był tak zmartwiony, że ten pan, zapytany o drogę, zauważył to.

— Można jechać tramwajem, najlepiej szóstką. Idzie przez samą Kalwaryjską. Dziesięć minut, kwadrans najwyżej...

Antek nic nie odpowiedział, tylko ukłonił się. Tramwajem!... Dobrze to komu gadać! Ma w kieszeni 83 grosze... Teraz dopiero przyszedł do wniosku, że zrobił głupstwo. Lepiej było przespać się w domu, w Rzeszowie, i przyjechać jakimś rannym pociągiem. A wogóle źle się stało, że odrazu nie powiedział matce. Na pewno po trzech, czterech dniach ustąpiłaby. Jak zawsze. No, ale teraz już za późno. Tyle tylko, że matka nie martwi się, bo wie, że Antek zajedzie do ciotki, gdzie przecież dostanie jeść. I na bilet powrotny. Jest jej chrześniakiem.

Idąc według wskazówki za linią tramwaju „jedyńki“, przyspieszył kroku. Szedł Grodzką, dalej Stradomiem. Był tu pierwszy raz w życiu. Ciepły, czerwcowy deszcz spędał przechodniów. Do bram chronili się żydzy w uroczyście, świątecznych strojach, ubrani w czarne atłasy i futrzane czapki. Gdy Antek dosięgnął placu Wolnicy, odezwała się na zegarach ósma. Równocześnie zahuczał daleki grzmot i wiatr poderwał tumany kurzu. Ulice opustoszały, Antek zaś biegł prawie. Gdy stanął na moście podgórskim, dosięgła go burza, z którą razem wpadł w uliczki przedmieścia. Na szczęście, do Kalwaryjskiej ma już wszystkiego jakichś kilkaset kroków. U ciotki wysuszy ubranie, napije się herbaty i gruchnie do łóżka.

Jest wreszcie numer 35. I szyld z wiedeńską pralnią ciotki. Chwała Bogu! Wyśpi się co najmniej do ósmej. Pralnia zamknięta, ale to nic. Ciotka pisała, że mieszka w oficynach, na parterze. Coś jej tam zblaguje. Przyjechał z całą klasą... Trochę bał się tego wypytywania ciotki. Jednakże wziął na odwagę i zapukał.

Cicho. Ciotka trochę niedosłyszy. Trzeba głośniej pukać. Chyba jeszcze nie położyła się. Zapukał drugi raz. I trzeci. Znowuż cicho. Począł więc szarpać klamkę. Nie odezwał się nikt, tylko na dziedzińcu zjawił się stróż.

— A do kogo to?

— Do pani Cierniakowej. To moja ciotka.

— Niema jej.

Antkowi zrobiło się jakoś niewyraźnie.

— Jakto „niema“? Przecież tu mieszka!

— Ano, mieszka. Tylko wczoraj wyjechała do Częstochowy.

— Do Często...

— Tak. Wraca jutro, a już naj - naj, ale to najpóźniej pojutrze rano.

Deszcz bił we wszystkie rynny, Antek zaś stał ze swoim pakunkiem i nie chciał wierzyć. Wyjechała! Wczoraj właśnie! A on ma w kieszeni 83 grosze. I gdzie teraz iść?!

Postał chwilę w bramie. Z izby stróża doleciał go zapach przyjemny, ale i niepokojący zarazem. Gdy burza minęła, ludzie pootwierali okna w niskich parterowych domach. Antek widział, jak jedli kolację. W głębi białe, spiętrzone poduszki... Grała trąbka w koszarach i zapóźnieni żołnierze biegli szybko, stukając podkutemi obcasami o bruk.

Puhar, świecący, wielki, srebrny puhar odlatywał gdzieś daleko. Toczył się ulicą, błyskał w kałużach wody i przepadał. Lepiej nawet nie stawać wcale do biegu. Żeby narazić się na śmiech? Przecież wszyscy inni wyśpią się porządnie w łózkach, rano umyją się, może nawet wezmą tusz, a on?... Ciotka wyjechała do Częstochowy... I matka jest przekonana, że Antek teraz je kolację u ciotki...

Coraz ciszej grały rynny, Antek szedł zaś przed siebie, nie wiedząc, dokąd idzie. Znowuż Wisła pełna świateł na wodzie. I most. I ta sama dzielnica żydowska. I te same Planty, pachnące teraz po deszczu krzakami wędnącego bzu i świeżym, gorącym jaśminem, pełne ludzi wesółych i rozbawionych. Antek zaś jest sam jeden.

W jakimś otwartym jeszcze kramie kupił sobie dwie bułki. Siadł na ławce pod pomnikiem Grażyny. Je bułki i patrzy na śpiącego Litawora...

*Coraz to ciemniej; wiatr północny chłodzi,
Na dole tuman, a miesiąc wysoko
Pośród krążącej czarnych chmur powodzi...*

Jeśli idzie o ściśłość, niema wiatru północnego, ani chmur. Przeciwnie, na razie jest ciepło. Jednak za godzinę zrobi się chłodniej. Litawor na pomniku śpi bez koszuli, goło... No, jemu to nic nie zaszkodzi! Antek wprawdzie ma na sobie ubranie, ale jutrzejszy bieg... Koniecznie trzeba gdzieś położyć się i przespać...

Został na ławce. Ogarniało go coraz większe znużenie. Przez klejące się powieki dostrzegł, że kamienna Grażyna drgnęła lekko. Ubrana w męzowską zbroję, ostrożnie zaczęła schodzić z cokołu. Wreszcie zniknęła za gazową latarnią, rozplynęła się w zielonym świetle. Litawor został sam na posłaniu. Zbudził się i spostrzegł, że Grażyny niema. Pobiegł za nią. Antek słyszał jego ciężkie kroki, dudniące w alejach...

Łóżko po Litaworze zostało. Antek powoli, z trudem, wdrapał się na pusty cokół i legł, naciągając na siebie kamienne draperje. Ciepło!... Zdaleka hejnał grał słodką melodię z wieży. Piał w noc czerwcową. A potem odezwały się zegary. Biły jeden po drugim. Z ratusza, z Wawelu, z kościołów. Raz, dwa, trzy, cztery... Dziesiąta.

Głos tych zegarów złączył się, zlał w jeden srebrny, cichutki

ton, który kołysał się wolno, wolno, coraz wolniej...

Antek uśmiechnął się przez sen: on jeden wiedział, że to nie zegary ani dzwony kościelne. To dzwonił puchar. Srebrny, wielki puchar Krakowa!...

II

CIOCIA IMCIA

Zbudziło go nagłe szarpnięcie za rękę. W pierwszej chwili miał wrażenie, że spadł z pomnika. Przetarł więc oczy i zobaczył, że Litawor leży na swoim miejscu, a Grażyna stoi nachylona w tej samej pozycji. Śniło się tylko...

— Na Plantach spać nie wolno!

Oprzytomniał zupełnie i ujrzał nad sobą policjanta, który go spytał, gdzie mieszka. Antek podał dawny adres ciotki.

— No, więc proszę iść do domu. Za kwadrans jedenasta. Planty nie są do spania!

Antek podniósł się. Minął ciche aleje pod Franciszkanami i pałacem biskupim. Potem wszedł w coraz bardziej rojne ulice Plant. Ludzi było tu znacznie więcej niż tam, bliżej Wawelu. Ale chyba za jakąś godzinę, najdalej za dwie, rozejdą się. Przecież mają gdzie spać! Antek zaś wyszuka sobie jakieś miejsce. Może tu, za pomnikiem Grottgera, znajdzie się jakiś kąt? Tylko jeszcze nie teraz. Niech umilknie muzyka w kawiarni...

Wlókł się dalej, coraz bardziej znużony. Trafiał na zakątek, gdzie w środku gazonu stała Lilla Weneda. Była w koszuli, w dłoniach trzymała harfę. Po rękach jej wiły się węże...

W niezawiazanej przychodzę koszuli,

Nie niosę chleba, nie mam nic wrzy sobie...

Na wieczorku Słowackiego w Rzeszowie grali ten akt „Lilli Wenedy“ i Antek pamiętał słowa... Lillę grała Krysią Piotrowską z gimnazjum żeńskiego, Antek był Derwidem...

Nigdy, o, nigdy, piekielna,

Ty nie usłyszysz pieśni niewolnika,

Nigdy, ta ręka, od tańcóww sina,

Strun sie nie dotknie...

Lilla ma na sobie koszulę. No, ona jest z brązu, tak jak Litawor z kamienia. Mogą stać przez całą noc. Ale ja?... Antek poczuł jakby dreszcz. Na wszystkich ławkach dookoła pomnika i w najbliższym sąsiedztwie pełno było. Ludzie śmiali się, rozmawiając wesoło, i nikt nie zdradzał ochoty, aby iść tak wcześnie do domu. Przecież to dopiero jedenasta!

A tymczasem zmęczenie Antka rosło i rosło. Znalazł wreszcie ławkę, zajęta tylko przez dwóch panów. Ukłonił się i spytał, czy może usiąść. Odpowiedzieli bardzo grzecznie, robiąc mu miejsce. Usiadł. Jeden z tych panów mówił jakby z trudnością po polsku.

Czasem mylił się i wtedy drugi, młodszy, poprawiał go. Wreszcie zaczęli mówić jakimś obcym językiem. Antkowi zdawało się, że chyba po angielsku. Słuchał przez chwilę, walcząc ze snem, przed którym jednak nie mógł opędzić się. Widział przed sobą trasę. Dochodziły wskazówki zegaru. Za kilka sekund start. Wreszcie padł strzał. Antek drgnął. Ale w żaden sposób nie mógł biec. Nogi wrosły w ziemię. Były z ołowiu. Ruszyli wszyscy, a on sam jeden został w miejscu. Widział, jak znikają na zakręcie. Zrobił więc ostatni wysiłek i poderwał się. Ale po kilku krokach runął.

Głowa spadła mu na ramię. I wtedy starszy z tych dwóch panów, siedzących obok niego, rzekł do towarzysza:

— You see, the boy is sleeping!

— Prawda! — potwierdził drugi. — Śpi na dobre!

Naradzali się przez chwilę. Wreszcie młodszy delikatnie chwycił Antka za rękę i zaczął nim trząść. Ale Antek spał mocno, i trwało dość długo, zanim go obudzili. Przyprawiony do przytomności, opowiedział wszystko. Przyjechał z Rzeszowa, aby wziąć udział w jutrzejszym biegu. Tymczasem ciotka właśnie wyjechała do Częstochowy. Antoni Zwoliński. Ma numer 57...

— I think, he does not lie...

— Chyba nie!

Rzeczywiście Antek nie wyglądał na kłamcę. Mówił tak szczerze i z takimi szczegółami, że nie można mu było nie wierzyć. Zresztą nie prosił o nic.

— A gdzie pan będzie spał?

Antek nie umiał odpowiedzieć, wzruszył tylko ramionami. Obaj panowie zastanawiali się.

— Proszę iść z nami! — rzekł starszy, ten z dziwną wymową polską. — Lekkomysłny chłopiec z pana! Tak się nie robi, żeby uciekać z domu. Ale my panu pomożemy.

Wyszli z pierścienia Plant. Na pierwszym kiosku Antek pokazał im afisz, donoszący o jutrzejszym biegu. Numer 57 — Antoni Zwoliński... Starszy pan oświadczył, że i tak uwierzył bez tego. Skreślił w Krowoderską i za minutę stanęli przed domem krakowskiej Y. M. C. A.

Nie minął kwadrans, Antek zaś, najedzony i umyty, spał już w czystym łóżku w białym pokoiku. Nie miał czasu zastanawiać się nad niczem, bo chwycił go sen nagły i mocny. Zbudził się dopiero po siódmej i w pierwszej chwili nie wiedział, gdzie jest. Zapomniał o wszystkim, nawet o tych panach, którzy go tu przyprowadzili. Ale jeden z nich zaraz zajął do Antka i powiedział, że ten starszy to jest główny dyrektor polskiej Imci.

— A teraz trzeba wziąć tusz, wykąpać się w pływalni, gdzie nasz trener wymasuje pana. Bo pan musi wygrać! Bezwarunkowo! Matka może daruje, jak zobaczy pana z pucharem. Inaczej nie...

Antkowi nie trzeba było dwa razy powtarzać słowa „pły-

walnia". Pobiegł natychmiast przez sale ogromne, czyste i widne. Antek słyszał już o tym gmachu Imci krakowskiej. Wiedział, że to fundacja milionera amerykańskiego, Fenna. Fabrykant ów zapisał Krakowowi ogromną sumę 200.000 dolarów. Nie był nigdy ani w Krakowie, ani w Polsce, ale miał u siebie wielu robotników - Polaków, którzy, widząc, dobrze zapisali się w jego pamięci, skoro w testamentie pamiętał o Polsce i zrobił jej tak piękny dar.

— Podoba się panu nasza Imcia?

— Ach, żeby to było coś takiego u nas, w Rzeszowie!

Gmach rzeczywiście był wspaniały. Oprócz mieszkań, sale dla poszczególnych klubów, dalej bufet (tani jak barszcz), bilardy, wielka sala gimnastyczna do siatkówki, koszykówki i t. d., a przede wszystkim cud nad cudami: pływalnia zimowa! Olbrzymi basen, wykładany kolorowymi kaflami. Raj! Żyć tam — nie umierać! Antek skosztował tuszów zimnych i gorących, potem skoczył z trampoliny na głowę. Woda była chłodna, czysta a głęboka w tym miejscu na dobrych kilka metrów. Nie chciało mu się wychodzić, ale nie pozwolili długo siedzieć w wodzie. Przecież za niespełna cztery godziny już bieg!

Wyszedł więc i dał się wymasować. Mocne ręce trenera zdawały się wlewać ogień i siłę do nóg Antka. Potem jeszcze jeden krótki, zimny tusz na zakończenie, następnie dwie szklanki mleka i parę bułek w bufecie.

— Niech pan się teraz przespaceruje trochę po mieście. Ale nie męczyc się! A ja z dyrektorem będziemy obserwowali bieg u wylotu Krowoderskiej. Proszę pamiętać, co mówiłem o puharze! Inaczej matka nie przyjmie do domu! — zażartował.

Antek uśmiechnął się i wszedł w Planty. Ale teraz były już inne, nie te same, po których wczoraj włókł się resztką sił. Buchały zielonością i słońcem. I były wesołe, roześmiane. Olbrzymie kasztany stały w kwiatkach, podobne do zapalonych choinek w dniu Bożego Narodzenia. Ach, jakież piękny był Kraków tej czerwcowej niedzieli! Antek napatrzeć się nie mógł drzewom, klombom kwiecistym i starym basztom. Kilka oswojonych wiewiórek biegało po trawniku, zbierając to, co im rzucały dzieci. Po sadzawce znowu krążyły łabędzie i kaczki. Pod szumiącą fontanną kąpały się wróble. Nad Barbakanem unosiła się chmura gołębi.

Przy niedzieli zjechało wiele wycieczek do Krakowa. Koło Barbakanu stała gromada dzieci śląskich, osobno zaś duży oddział podchorążych których oprowadzał po Krakowie jakiś przewodnik. Antka doleciały słowa:

„...z dawnych murów obronnych, otaczających cały Kraków, zachowało się po dziś dzień niewiele. Więc baszty Pasamoników, Stolarzy i Cieśli, głównie jednak Brama Florjańska i Barbakan, inaczej Rondel, jeden z rzadkich zabytków średniowiecznego budownictwa. Barbakan ten, wysunięty naprzód, otoczony nieprzystępnymi



Kopiec Kościuszki

fosami i zaopatrzoney w mosty zwodzone, miał na celu utrudniać nieprzyjacielowi podejście zboku do linii murów...“

Dalsze słowa przewodnika zgłuszył huk wozów i głos muzyki wojskowej. Z jednej strony maszerował dwudziesty pułk piechoty, czyli „dzieci krakowskich“, wracający z kościoła, z drugiej zaś ku bramie Florjańskiej jechało wesele krakowskie. Drużbowie na koniach, strojni w białe sukmany i czerwone czapki z pawimi piórami. Na ramionach mieli kolorowe chustki. Za drużbami ciągnęły wozy, pełne wystrojonych jak lalki krakowianek. Jechali, strzelając z batów i przyspiewując. Nietylko Antek, ale i podchorążowie również przestali słuchać wyjaśnień przewodnika. Zapatrzyli się wszyscy w weselny orszak, który rwał oczy blaskiem i brzęczał jak nabijany kółeczkami pas krakowski. Rozjaśniło się od nich całe miasto, już i tak pełne słońca.

Wreszcie wozy i drużbowie zniknęli w Bramie Florjańskiej. Antek poszedł za nimi. Obie wieże Marjackie strzelały jak igły w błękit. Żłota korona świeciła na wyższej pod samym niebem. W powietrzu była radość. Ale nagle u rogu rynku Antek ujrzał znowu afisz. Za trzy godziny bieg! Zrobiło mu się w cieniu gorąco! Rany Boskie!

Bramą boczną i główną wchodziły do kościoła Marjackiego tłumy. Wszedł więc i Antek. Ciemno było w olbrzymich nawach. Ciemno, ale i kolorowo zarazem, złościście. Przez witraże biła cała tęcza barw. Ściany i kolumny mieniły się. Wymalowane anioły, otoczone promienną glorią, płynęły pod gwiazdzistym sklepieniem. Kolory pachniały kadzidłem aż do zawrotu głowy. Antek szedł ku głównemu ołtarzowi, który był jak olbrzymia monstrancja. Oczyszczone niedawno z kilkusetletniego pyłu, na nowo skąpane w złocie i farbach rzeźby Wita Stwosza grały na wysokościach swą odwieczną pieśń. W samym środku Matka Boska. I koło niej dwunastu Apostołów. Matka Boska omdlewa, siły ją opuszczają... Św. Jan ociera łzy, św. Piotr czyta modlitwy za konających, inny Apostoł zdmuchuje dopalającą się świecę. Ale pozostali widzą już, jak Matka Boska w ramionach Chrystusa unosi się ku górze, tam, gdzie grają chóry anielskie...

Od tej sceny głównej oczy Antka pobiegły ku bocznym skrzydłom, ku obrazom Zwiastowania, Narodzenia, Hołdu Trzech Króli... Z prawej zaś strony widać było Zesłanie Ducha Świętego i Wniebowstąpienie a wysoko, u samej góry, Zmartwychwstanie. Stał bez ruchu, widząc wewnątrz ołtarza po raz pierwszy. Bo wtedy, gdy z matką zwiedzał Kraków, ołtarz ten, zbudowany nakształt szafy, zamknięty był i widoczny tylko od strony zewnętrznej. Dzisiaj zaś, przy święcie, otworzono oba skrzydła, aby oczom ludzkim pokazać ten skarb, który, choć wykonany z drzewa tylko, przetrwał blisko pięćset lat...

Cofnął się wreszcie z pod ołtarza i wracać począł ku drzwiom

głównym przez długą, ginącą w ciemności nawę, pełną nagrobków i pomników. Przy samem wejściu była ukryta zboku kaplica Matki Boskiej Częstochowskiej. U kraty klęczało wielu. Ukląkł więc i Antek. Przez chwilę, zastanawiał się, czy wypada prosić Matkę Boską o ten puhar. Bo niby jak to powiedzieć? „Proszę o puhar...“ Nonsens! Jakiem czołem? Tak, ni z tego, ni z owego?

T. zn. grzechu nie byłoby w tem żadnego. Bo skąd? Ale może nie mówić wyraźnie o tym biegu. Matka Boska sama robi, jak będzie uważała. Raczej wspomnieć jakoś ogólnie. Chyba domyśli się? Jest przecież taka modlitwa na uproszenie błogosławieństwa w rozmaitych okazjach, np. „Kiedy zabiorę się do pracy, do której powołuje mnie obowiązek“... No, to może nie. Ale dalej „kiedy przejdę od jednego zajęcia do drugiego“... I to nie. Jednakże następne zdanie brzmi „za każdym poruszeniem“... Tu już jest mowa całkiem wyraźnie. I Matka Boska nie może mieć wątpliwości.

Umiejąc tę modlitwę na pamięć, zmówił ją Antek. Żeby sobie nie mieć nic do wyrzucenia. Zrobił, co do niego należało. Na wszelki wypadek. Nie był zresztą natrętny, ale modlił się gorąco. I przyrzekał, że już nigdy w życiu nie zmartwi swej matki. A o ileby kiedykolwiek jeszcze stawał do zawodów, powie odrazu całą prawdę. I nie wyjedzie bez zawiadomienia matki. Nigdy!

Z kościoła wyszedł znowu na obłany słońcem rynek. Pod pomnikiem Mickiewicza stali już ci sami podchorążowie, których widział Antek pod Barbakanem. Oprócz tego była gromada górali. Przynieśli wieniec z kosówki i złożyli u stóp poety. Podchorążowie ze swym przewodnikiem poszli do Sukiennic, do Muzeum Narodowego, tymczasem zaś jakiś młody akademik miał przemowę do górali. Prosto, krótkimi zdaniem mówił o Krakowie, jako o mieście żywym. W podziemiach Wawelu śpią królowie w złożonych trumnach, ale w odnowionym pałacu wawelskim mieszka Pan Prezydent Rzeczypospolitej...

„...Byliśmy przed chwilą w Bibliotece Jagiellońskiej. Ta biblioteka to nietylko skład starych, zmurszałych książek, których liczba dosięga miliona. To źródło wiedzy, płynącej na cały kraj! Bo Kraków jest przede wszystkim miastem nauki. Ma najstarszy a zarazem najlepszy uniwersytet. Oprócz tego pierwszą w Polsce Akademię Sztuk Pięknych oraz inne szkoły, jak Akademię Górniczą, Szkołę Handlową, Przemysłową i t. d. i t. d., do których ściągają młodzież z całego kraju. Kraków ma pozatem szpitale, słynne kliniki, znakomitych lekarzy...“

Tymczasem nadciągnęła inna grupa: dzieci w strojach łowickich. Potem znowuż, ślężacy. Pod pomnikiem było już chyba z dziesięć wieńców, które składały przeróżne wycieczki. Ratuszowy zegar pokazywał godzinę pół do jedenastej. A przy drzwiach Muzeum Narodowego tłoczyły się gromady ludzi. „Wstęp bezpłatny“. No, to niedrogo, można zajrzeć.

Wszedł Antek. Ze ścian buchnął na niego Matejko, jak płomień. Stratowała go „Czwórka“ Chełmońskiego, pędząca jak burza z ostatniej sali. Kardynałowie i rycerze patrzyli z wielkich portretów. Uśmiechała się Modrzejewska... Potem znowuż, w innych salach, zapachniało słońcem z obrazków Stanisławskiego, wionęło smutkiem od Grottgera i Malczewskiego... Ale głównie porwał Matejko, którego obrazy przykuwały i oszałamiały widza. Oto „Hołd Pruski“, mieniący się od złota i purpury. A ludzie jak żywi. I na nich strój każdy, każda ozdoba, futro czy zbroja, albo taca pełna dukatów, czy chorągiew — wszystko to jakby zupełnie prawdziwe, takie, że możnaby prawie wziąć do ręki. Ludzie ci, stłoczeni kolorową ciżbą, kiedyś chyba rozsądzą potężne, złote ramy i zejda... Nie można patrzeć długo, bo zwraca się w głowie. I nogi bolą okropnie. A za godzinę start.

W sali Siemiradzkiego usiadł Antek na jakiejś ławce. Ale już go nie interesował ani Neron, ani płonący za wiarę chrześcijanie, ani pantera przy lektyce. Myślał raczej o biegu. Po chwili odwrócił głowę i ujrzał posąg gladiatora dłota Welońskiego. I speszył się bardzo.

...*Ave Caesar Imperator, morituri te salutant...*

Idiotyczna wróżba! Właśnie na godzinę przed biegiem! Antek patrzył na potężną klatkę piersiową gladiatora, na bicepsy, pod którymi pękała skóra, na nogi stalowe o grających całą gamą mięśniach. Ogarniało go coraz większe przygnębienie. Jeżeli taki atleta, taki byk, jak ten śpiżowy gladiator, przed meczem przygotowany jest na najgorsze i sam sobie prorokuje klępkę, to cóż dopiero powiedzieć mam ja!? Przecież onby mnie jednym małym palcem!... I mówi o sobie „moriturus“! O, żeby cię!... Może się człowiekowi odechcieć wszystkiego!

Jeszcze raz spojrzął na wyprężone uda, na łydki napięte jak cięciwy. I odczuł zmęczenie w nogach własnych. Nie nogi mam, ale flaki — pomyślał z goryczą. Naturalnie, kwestja odżywiania... W dolku odczuł strach. Raz zimno, raz gorąco. Na zmianę.

— Moriturus, psiakrew!

Wybiegł z sali. Jednak posępne słowa łacińskie pędziły za nim przez rynek. Natknął się wprost na pomnik Mickiewicza i na siedzącą z tej właśnie strony alegoryczną figurę męstwa. Młody człowiek, odziany w jakąś płachtę, przykucał na cokole, trzymając w ręce krótki miecz. Twarz miał smutną, i w porównaniu z owym gladiatorem był raczej wątłej budowy. Popatrzył ponuro na Antka, zdając się mówić: „Przerznieś, jak amen w pacierzu! Wrócisz do Rzeszowa i śmiać się będzie cała klasa! Żebyś przynajmniej wziął jakiś pseudonim! Ale tak? Pod własnym nazwiskiem? Co powie Stachowicz? A jutro godzina historii! Lechnicki! Gotowi wylać z gimnazjum!...“

Antek splunął z irytacji. Dość miał już tych posągów. Będzie, co ma być!

Z tą myślą wstąpił do kiosku! Zjadł dwa ciastka (cukier krzepi...) i popił wodą sodową z sokiem malinowym. Było już pół do dwunastej. Trzeba zgłosić się i przebrać. Najwyższy czas.

Pędził tak szybko w stronę Pałacu Prasy, że na Siennej potrącił jakiegoś olbrzymiego policjanta. Posterunkowy miał bary i piers gladiatora. I jego smutną, spaloną słońcem twarz.

— Przepraszam! — mruknął Antek.

— Proszę! — odpowiedział potrącony Waligóra.

Ale Antkowi zdawało się, że usłyszał znowu straszliwą wróżbę „*Ave Caesar...*“

Bez błysku nadziei, speszony ostatecznie, dotarł do miejsca startu.

III

PUHAR I PARASOL

Padł strzał i ruszyli szeroką ławą. Pod słońce. Przed nimi samochód z aparatem fotograficznym, po bokach rowery. Na chodniku gromady ludzi.

— Kusociński nie przyjechał! — pomyślał Antek, ruszając. O gladiatorze już zapomniał. Biegli zwartą kupą, w której nie wyróżniał się nikt. Dopiero gdy skończyła się ulica Gertrudy, gromada przybrała kształt nieco elipsowaty. Potem, przekraczając wylot Grodzkiej i Stradomia, wydłużyła się jeszcze bardziej. Na placu Bernardyńskim przypominała już węża, którego głowa dosięgła Rybaków, ogon zaś jeszcze ciągnął się pod stokami Wawelu. I tam, na Rybakach, wyprężona linja pękła w jednym miejscu. Głowa toczyła się osobno Między nią a Antkiem wyrósł dystans jakichś dwudziestu — trzydziestu metrów. Za sobą czuł Antek oddech biegnących ztyłu. Ale oddech ten słabł. Antek oddzielił się od tułowia. Przy rogu Powiśla i Podzamecza chłopiec jakiś, stojący na chodniku, krzyknął „bierz ich!“

Antek zawahał się. Dzieliło go od prowadzącej grupy kroków niewiele. Właściwie teraz mógłby nadrobić łatwo. Ale to dopiero początek trasy. Może jedna trzecia, nie więcej. Zresztą przy pierwszych domach ulicy Straszewskiego jeden z biegnących na przedzie zaczął zwalniać. Po chwili minął go Antek spokojnie i bez wysiłku. Zdążył tylko stwierdzić, że ten zawodnik jest wypompany. Obejrzał się i zobaczył, że jeszcze bardziej oderwał się od tułowia. Przed nim jest może jakichś dziesięciu, dwunastu najwyżej. Kozak z Cracovii prowadzi, za nim Stępień ze Lwowa. Czwartym idzie Tkacz, kapral z 22 pułku, z Siedlec. Innych Antek nie zna. Jeden wyraźnie kuleje. Zanim dobiegli do rogu Zwierzynieckiej, ten kulejący odpadł. O jednego znowuż mniej.

Słońce mają teraz za sobą. Pod uniwersytetem Antek prawie zrównał się z głową. Ale na chwilę tylko, wstrzymał się bowiem sam w pędzie. Forma! Forma! Niezadługo trasa pójdzie trochę pod górę. Trzeba się oszczędzać. Nie na warjata!

Nie przyspieszał zatem. Oddech miał porządny i spokojny. Tymczasem ludzie, stojący po bokach ulicy, zaczęli nawoływać, dając ostrogę biegnącym. Trzymając w rękach gazety, po numerach poznawali poszczególnych zawodników. Co sekunda padały znane sportowcom nazwiska. Ktoś krzyknął „Brawo, Kozak!“ Padły oklaski i przodem idący Kozak wysunął się jeszcze bardziej. Prowadził o dobrych dziesięć metrów. Ale teraz zaczęła się lekka wyniosłość. Antek pamiętał o niej. I już koło Rejtana był siódmy z rzędu. Jednakże do Kozaka jeszcze daleko. U wylotu Krowoderskiej ujrzał obu panów z Imci.

— Brawo! — krzyknął siwy Amerykanin.

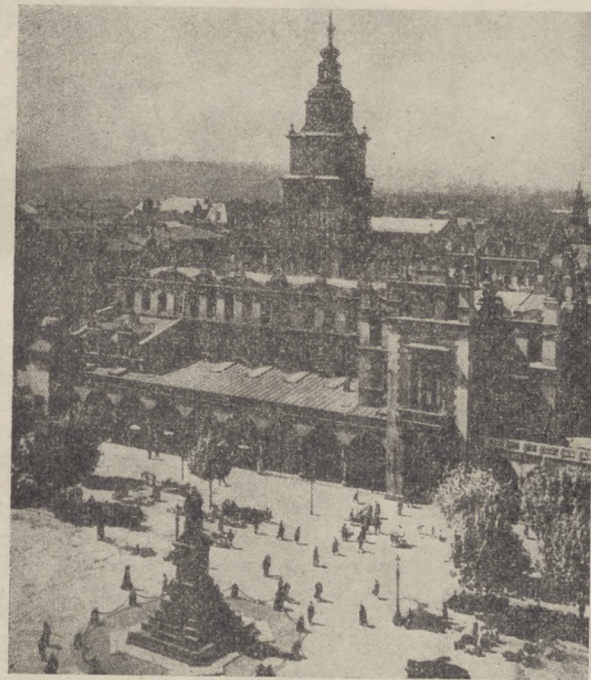
— Trzymaj się! — rzucił drugi.

Nagle zbudziło się coś w Antku. Przypomniał sobie, co tamten młodszy mówił o matce i o pucharze. I gdy padły te dwa słowa z rogu ulicy, przestał już być tak samotny. Jest ktoś, kto mu dobrze życzy. Dlatego w dziesięć sekund był już trzeci. Przed nim Kozak i Tkacz. Stępień został w tyle. Koło Izby Handlowej po raz pierwszy padło z ulicy jego nazwisko: „Zwoliński! Zwoliński! Tempo! Tempo! Brawo, Rzeszów!“

Pod Barbakanem zrównał się z Tkaczem. Wtedy krzyk „Zwoliński! Rzeszów! Zwoliński!“ wzmógł się do tego stopnia, że dotychczasowy faworyt, Kozak, obejrzał się, chcąc zobaczyć na własne oczy tego Zwolińskiego. Ujrzał go i zdziwił się tak, że Antek zyskał na tem zdziwieniu co najmniej dwa metry. Podniecenie na chodnikach wzrosło. Chłopcy jacyś darli się jak opętani. Oba nazwiska, Kozak i Zwoliński, zaczęły się bić ze sobą. Ale nazwisko Antka, nowe i nieznanne, znalazło większe echo. Kozak obejrzał się po raz drugi. Antek zobaczył w jego oczach nie tylko zdziwienie, ale i gniew. Usta Kozaka były otwarte, twarz miał bladą i zaciętą.

Tym razem Antek nie tylko nie zyskał na tem, że rywal obejrzał się, ale nawet stracił zdobyte poprzednio dwa metry. Kozak bowiem poderwał się do finiszu. Tak, to prawie koniec trasy. Jeszcze jakichś trzysta metrów i meta. Antek gnał ze wszystkich sił. Nie ustępował ani na piędź. Jednakże nadrobić nie mógł. Tam była rutyna, tu tylko młodość. Dystans był ciągle prawie ten sam. Na nic! Kozaka nie weźmie!

Do mety było teraz z dwieście metrów, nie więcej. Im bliżej, tem bardziej tłoczyli się ludzie na chodnikach. Wiadomo było w tej chwili, że walka rozegra się tylko między tymi dwoma. Nikt inny nie wchodził w rachubę. Antek oddawna już nie oszczędzał się. Albo teraz, albo nigdy. Przecież to ostatnia chwila. Gnał resztką pary z rozpaczą w sercu. Nadrobił jakiś minimalny kawałek





Kaplica Zygmuntowska

Widział już ciemne smugi potu na koszulce Kozaka. Krzyki wzrosły. Ale Kozak ciągle był pierwszy. I nagle, nagle...

To było tuż przed Strażnicą. I gdyby nie ten jeden krzyk, Antek byłby ugotowany. Ale stało się inaczej. Z chodnika zawołał ktoś: „Kozak, nie daj się jakiemuś patałachowi z Rzeszowa! Tempo! Tempo!“

To jedno słowo wystarczyło, aby „patałach“ siadł na karku Kozaka. Antek nie biegł, ale leciał. Zrównawszy się, przez dziesięć, piętnaście metrów ciągnęli razem krok w krok. Antek słyszał teraz oddech przeciwnika. Nierówny, zdyszany. Sam zaciął zęby, paznokcie wbił w dłonie. Patałach! Rzeszów! Pokażę wam!

Gdy dosięgli Poczty, mijał już Kozaka, wysunawszy się o minimalny wprawdzie, ale widoczny dystans. Nikt nie wołał „Kozak!“ — „Zwoliński!“ — zagłuszył wszystko inne. Antek już nie widzi Kozaka. Widzi tylko wstęgę i krwawy napis „Meta“. Paść trupem a być tam. W oczach wirują czerwone płatki, serce wyłazi pod samo gardło. Ale to już ledwie dwadzieścia metrów! Piętnaście! Dziesięć! Jeszcze! Jeszcze!

Grzmot oklasków i Antek jest już w oplocie wstęgi. Rozpędem wleciał jak wichur w grupę jakichś panów, wywalił stolik i znalazł się w ramionach jakiejś sędziwej pani. Ktoś podaje mu rękę, ktoś inny wsuwa bukiet z szarfami, nieznani ludzie biorą go w ramiona. Zwoliński! Zwoliński!

Antek nie może mówić, nie widzi nic przed sobą. Myśli tylko o tem, aby zachować formę. Żeby nie napisali, że ostatecznie wyczerpany przyszedł do mety! A tymczasem serce tańczy jak szalone, pęka klatka piersiowa, w płucach jest jakby ostre tarło.

Ktoś woła przez głośnik „Pierwszy przyszedł Antoni Zwoliński, numer 57, Resovia, w czasie...“ Oklaski zagłuszają ciąg dalszy. Strzelają aparaty fotograficzne. Ktoś ma mowę. Krótka gratuluje Antkowi, w którym zgodna opinia fachowców widzi rywala Kusocińskiego. Padają życzenia na temat przyszłej Olimpiady. I wreszcie błyska puchar... Wielki, srebrny puchar...

Antka coś chwytą za gardło. Chce się utrzymać jakoś do końca, ale nie może. Poprostu ma łzy w oczach. Puchar przycisnął ruchem tak dziecinny, że obecni wybuchnęli śmiechem. Ale śmiechem życzliwym. Przecież ten Zwoliński ledwo skończył siedemnaście lat. Dzieciak jeszcze! Nic dziwnego, że płacze!

Antek zaś jest szczęśliwy. Szuka Kozaka i rzuca mu się serdecznie na szyję. Ściska ręce innych zawodników. Tkacz pocałował go w oba policzki, to samo Stepień. A ciągle przybywają nowi gratulanci. Znowu zdjęcie. Cała grupa. Antek z pucharem w środku, po prawej Kozak. Potem Antek osobno. Dziennikarz jakiś notuje szczegóły. Pyta o lata, o rezultaty poprzednich zawodów. Coraz nowi, nieznani ludzie cisną się do Antka.

Ale gwar cichnie powoli. Tramwaje, wstrzymane chwilowo,

ruszają. Tłum topnieje zwolna. Antek dowiaduje się, że po południu zawodnicy są gośćmi miasta. Więc o czwartej zbiórka pod magistratem, skąd autobusami pojedą do Lasku Wolskiego, gdzie zastawiony będzie podwieczorek. O godzinie siódmej koncert chóru czeskich kolejarzy na podwrocu arkadowym Wawelu, o ósmej przedstawienie w teatrze im. Słowackiego. Do widzenia o czwartej pod magistratem!

Pusto zrobiło się przed gmachem. Antek jest już ubrany. W ręce ma swój pakunczek z kostjumem i puhar w skórzanym futerale. W kieszeni ma 23 grosze. I teraz dopiero nie wie, co ze sobą zrobić. W brzuchu zaczyna lekko burczeć. Do Imci przecież nie pójdzie! Wprawdzie byli dla niego tacy dobrzy, ale drugi raz wstydziłby się iść. To już byłaby żebranina. Co najwyżej, z Rzeszowa napisze kartkę i podziękuje za wszystko. Gdyby nie oni, Antek przyszedłby na szarym końcu. Niema dwóch słów.

Stoi na rogu Starowiśnej. Sam jeden. Wszyscy rozeszli się na obiad. Co gorsza, nikt go już nie poznaje. Ludzie nie widzą go wcale. Jakby go nie było!... Stał się jednym z tysiąca przechodniów, Słońce świeci po dawnemu, ale Antkowi zdaje się, że wszystko zgasło mu przed oczyma. Śmieszne! Jeszcze kwadrans temu był pierwszy, był jedyny, a teraz... Nikt nie wie, że w tym futerale jest puhar. Może tam być cokolwiek innego, a trudno wyjmować, pokazywać ludziom, albo nieść w ręce jak na tacy...

Razem z goryczą nadchodzi zmęczenie. Zmęczenie śmiertelne. Najchętniej położyłby się gdzieś na trawie i zasnął. Naturalnie, jest to niemożliwe. Zresztą zasnąć nie dałaby myśl, która jak ostry swider wkręca się w głowę: bilet powrotny!...

O, zaczyna być niedobrze. Ciotka? Potrzebna była ta Często-chowa... I musiała teraz właśnie! Ma cały rok do dyspozycji, a ona akurat w czerwcu! Przecież ciotka dochodzi chyba do sześćdziesiątki. W tym wieku siedzi się w domu, zamiast jeździć. Tak, jakby tu, w Krakowie, nie było kaplicy z tą samą Matką Boską!...

Tym razem zaburczało całkiem wyraźnie. Nic dziwnego: mleko, dwie bułki i dwa ciastka od samego rana. Podwieczorek w Lesie Wolskim... No, to dopiero gdzieś koło piątej, a teraz jest pierwsza. O powrocie ciotki niema co marzyć. Ostatecznie, już to, że go znaleźli ci dwaj panowie z Imci, było cudem. Drugim to, że wygrał przed Kozakiem. Za trzeci cud bezwarunkowo uznać należy, że Kusociński przed miesiącem naderwał sobie ścięgno. Ale trudno wymagać czwartego: żeby przyjechała ciotka. Wprawdzie stróż mówił, że spodziewają się jej dzisiaj...

Niebieski, wylakierowany tramwaj zatrzymał się na rogu ulicy Starowiśnej. Trójka. Młodzież szkolna ma zniżkę... W sekundzie Antek był na platformie. Bilet szkolny kosztuje 15 groszy. Tramwaj ruszył, dzwoniąc równie natrętnie, jak natrętnie oddzwaniały obiad

głodne kiszki. Ale coś powiedziało nagle Antkowi do ucha: „Ciotka wróciła!“ I wtedy tramwaj zwolnił tempa. Zdawał się wlec. Ospale toczył się przez Starowiśną, przystając, gdzie się dało. Np. przy plantach Dietlowskich. A potem przed trzecim mostem, choć nikt nie wsiadał i nie wysiadał. Jak naumyślnie! A co będzie, jeżeli ciotka zasiedzi się jeszcze do jutra? Co on zrobi w Krakowie? Boże, Boże!...

Raptem ktoś trącił Antka. Spojrzał i oczom własnym wierzyć nie chciał: ciotka! Jak Boga kocham, ciotka! Parasol, dwie walizki, cała kupa innych pakunków, kwiatki w dzbanuszkach...

— Antek, z nieba mi spadłeś! Jakiś dobry duch natchnął matkę, że cię wysłała! Przecież sama nie dałabym sobie rady w żaden sposób! Na następnej stacji wysiadamy. Bierz te cztery kawałki grubsze, a ja wezmę resztę! Panie konduktorze, proszę nie ruszać, dopóki nie wysiądę ze wszystkiem! Pewnie z wycieczką przyjechałeś? Parasol, parasol! Panie konduktorze, proszę jeszcze zaczekać! Do widzenia pani! Antek, parasol i taka torba pod ławką. Na śmierć byłabym zapomniawsza! Antek, daj mi to, co trzymasz, i weź tę torbę! Aha, jeszcze kwiatki w dzbanuszkach! Józefie Nazareński! Antek, parasol!...

Tramwaj wreszcie ruszył, Antek zaś stał na ulicy, objuczony jak wielbłąd. Wstyd mu nawet było trochę, bo ludzie już śmiali się z ciotki, z jej pakunków z parasola, z kwiatków i z okropnego rejwachu, jakiego narobiła. Ktoś nawet spytał, czy nie wiozła klatki z kanarkiem.

Ciotka, wylądowawszy na ulicy, zaczęła rachować pakunki, których było około dziesięć sztuk. Nagle Antek zbladł. Puścił wszystko na ziemię i pędem pognął za uciekającym tramwajem, zostawiając osłupiałą ciotkę na środku jezdni.

Puhar, srebrny puhar został w tramwaju!...

IV.

CUKIER KRZEPI...

Antek wziąłby teraz nie jednego Kozaka, ale dziesięciu Nurmich czy Kusocińskich. Skrzydła miał u ramion a w głowie śmige. Wystartował jak szalony i gnał środkiem ulicy. Ludzie stawali, nie rozumiejąc, co się dzieje, on zaś rwał w nieprawdopodobnym tempie. To też dogonił tramwaj tuż za drugą stacją. Było już za późno. Konduktor, wszyscy posażerowie szukali pod ławkami, na podłodze. Napróżno! Po puharze ani śladu!

— W takim ciemnym futerale! Przecież to nie mogło wpaść w ziemię! Przysięgam, że miałem jeszcze przed sekundą! Ktoś musiał wziąć! Puhar, puhar Krakowa!

Antka chwyciła desperacja. Pocięzali go i uspokajali wszyscy,

ale on słuchać nie chciał. Zjawił się policjant i zrobił małe śledztwo, Wysiadała jakaś starsza pani i dwóch Żydów. Musiał chyba któryś z nich... Nikt inny! Antek zaciął zęby, aby nie krzyzczyć głośno. Policjant zaś przekonywał go, że taka rzecz zginąć nie może. Jutro rano będzie w dziennikach, że mu puchar skradziono. I musi się znaleźć! Ale Antek nie wierzył.

Tramwaj ruszył wreszcie, jednakże na jezdni stało jeszcze sporo ludzi, komentując wypadek. Straszne czasy! W biały dzień! I że też pan nie upilnował! Przecież nie jest pan dzieckiem! Dać sobie skraść z przed nosa taką kosztowną rzecz! A jej, jej! Cóż za lekkomyślność...

Antek spojrział na nich wilkiem, tak że dali spokój. Podał policjantowi adres ciotki, wsadził ręce w kieszenie i odszedł. Wszystko przepadło!

Ciotka stała jak wryta w tem samym miejscu, otoczona piramidą pakunków.

— Czyś ty zmysły stracił? Gdzie ty leciałeś jak warjat!?

— Puchar mi ukradli?

— Jaki puchar?

— Puchar Krakowa! Srebrny puchar!

— Tobie? A skądże ty go miałeś?

— Za bieg. Ja dzisiaj biegałem...

— No, widziałam przed chwilą... Myślałam, że się zabijesz! Któż ci kazał tak pędzić?!

— Ależ to nie to! Rany Boskie! Bieg okrężny!

Długo trwało, zanim Antek wytłumaczył wszystko ciotce, osobie niezbyt biegłej w sprawach sportu. Tymczasem powstało koło nich nowe zbiegowisko, na które ciotka patrzyła podejrzliwym okiem, ustawicznie rachując swe pakunki. Ludzie zaś gadali o wypadku tak długo, aż wreszcie i ciotka uznała, że czas najwyższy pójść do domu. Jeżeli zaś idzie o sam puchar, znalazła jedną jedyną radę, t. j. pomodlić się do św. Antoniego. Twój patron przecież... Można i coś obiecać w razie, jeżeli się znajdzie. Tylko św. Antoni! Policja będzie szukała rok i skończy się na szukaniu. A, swoją drogą, mogłeś uważać na ten puchar! Tylko twoja wina! Ja jestem starsza i miałam dziewięć kawałków, ale wszystko policzone dokładnie, tak, że mowy niema o tem, aby coś zgubić. Pamiętaj na przyszłość zawsze porachować sobie!

Z tem zabrała się do nastawiania prymusa. Ale Antkowi nie było w głowie jedzenie. Nie mógł przełknąć nawet kawałka chleba. Podparł się łokciami i słuchał ciotki, która opowiadała o Częstochowie. Potem, chcąc pocieszyć chrześniaka, przeszła znowu na puchar. Przedewszystkiem, czy to było czyste srebro? Teraz tak oszukują na każdym kroku... I wogóle srebro spadło w cenie ostatnimi czasy. A bez pucharu można żyć. Zresztą pewnie się znajdzie.

— O, a tu masz medalik, który ci przywiozłam. To jest prawdziwe srebro. Nie martwże się!

— Dziękuję cioci.

Antka już nic ucieścić nie mogło. Policjant mówił, żeby do jutra zaczekać. Pewnie, lepiej sobie nie mieć nic do wyrzucenia. Więc zostanie. Opowiedział ciotce wszystko. Także o tem, że wyjechał bez pozwolenia. I że matka martwi się w Rzeszowie.

— A bo matka twoja niepotrzebnie denerwuje się lada czem. Inna rzecz, że skaranie boskie z temi sportami. Dawniej ludzie nie biegali ulicami na goło i żyli po bożemu. No, ale stało się! Idźżeż pod magistrat i potem do teatru, a na noc wracaj do mnie. Na bilet dam ci jutro dopiero, bobyś znowu zgubił. Teraz masz złotego. Oj, Antosiu, Antosiu!...

Pogłaskała go i ucałowała w czoło. Wyszedł, ale odechciało mu się wszystkiego. I wycieczki do Lasku, i koncertu na Wawelu i teatru. Wszystkiego!

Na placu W. W. Świętych pod magistratem stała już grupka uczestników dzisiejszego biegu. Opowiedział Antek o swoim nieszczęściu i zaraz pobiegł ktoś zatelefonować do dzienników i na policję. Przecież to się musi znaleźć. Bezwartunkowo!

Antek nie wierzył jeszcze. Ale zwolna uspokajał się, jadąc przez Wolską. Nieprzejrzone tłumy ciągnęły ku błoniom, ku boiskom sportowym Cracovii, Wisły, Garbarni, Juwenii, Legji Robotniczej, ku parkowi Jordana i dalej w stronę Sikornika, Skał Panieńskich i Bielana. Dzień był tak piękny, że w domu nie chciało się nikomu zostać. Autobus szedł wolno. Minąwszy czerwony gmach Sokoła, przekroczyli zbieg pięknych alej Mickiewicza i Krasieńskiego i jechali teraz aleją 3-go Maja. Zaraz na prawo stał Miejski Dom Wycieczkowy.

— O, widzicie! — mówił jakiś zawodnik, — tu spaliśmy. Powiadam wam, klasa! Łóżka pycha! No, i wszystko za psie pieniądze. 80 groszy! Dziewiętnaście sal sypialnych! A jak to urządzone! A natryski! Powiadam wam, żyć i nie umierać!

— No, w każdym razie basenu nie mają — rzekł Antek, myśląc o Imci.

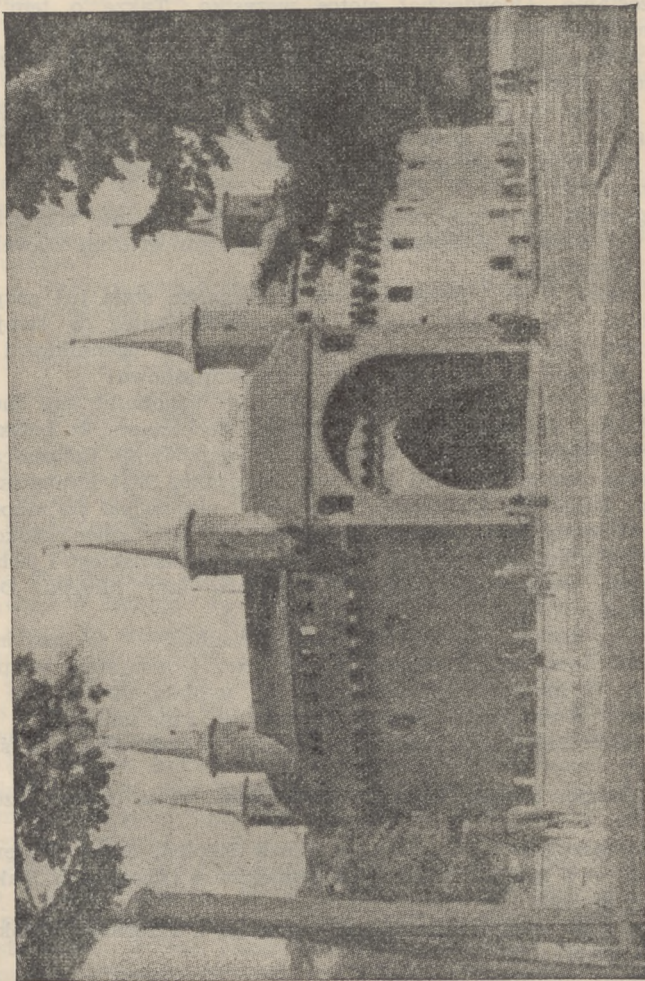
— Ale zato zmieści się tam 220 chłopca. A to dopiero część gmachu.

— Ja mieszkałem tuż obok — mówił Stępień, ten z „Pogoni“ lwowskiej. — U kolegi, w Domu Akademickim w Oleandrach. Także wspaniały gmach!

— To stąd wyszedł Piłsudski z kadrówką w czternastym roku? — spytał inny.

— Stąd! Szóstego sierpnia...

Kilku uczestników spało znowuż w Bursie Rękodzielniczej przy ulicy Skarbowej. I opowiadali cuda o tym zakładzie, który powstał z inicjatywy jednego człowieka.



Barbakan

— O, ten ks. Kuznowicz, który to wszystko zrobił, ma głowę nie od parady! Wymajstrował to pierwszorzędnie! Chłopaki żyją tam jak w raju! Czysto, że jednego pyłku nie znajdzie! I jakie sale, jakie urzędnia! Oprócz tego zaś mają plażę na Wiśle! Park gier!...

— Mało tego, mają kolonję letnią w Jastarni! Dobrze im się dzieje!...

Rozmawiając tak, jechali wzdłuż Błon, zalanych ludźmi. Niczem dziwaczne grzyby wyrastały kolorowe parasole rozmaitych kramów i kiosków. Wirowały karuzele, pod niebo śmigwały huśtawki, odzywały się co chwila huk strzałów z rozmaitych strzelnic, krzyczeli przepkupnie lodów, dało się wniebogłosy radjo z olbrzymich głośników. Ale Antek siedział osowiały ...

— Pan się jeszcze martwi? Założymy się, o co pan chce, że do rana znajdzie się puhar! Co komu z tego przyjdzie? — rzekł pobity Kozak. — Zresztą i tak wszyscy wiedzą, że pan zwyciężył, a to chyba najważniejsze... Z przed nosa mi pan świsnął ten puhar, ale nie mam żalu. Spotkamy się jeszcze!

— Pewnie! — odrzekł Antek.

U końca pierwszych Błon, skręcili w lewo, zostawiając po prawej drogę do Bronowic.

— Patrzcie, panowie, co ludzi na Kopcu Kościuszki! — krzyknął ktoś.

— Czerwiec to miesiąc wycieczek — odrzekł jakiś pan, towarzyszący im z ramienia miasta. — Mamy czasem i po kilka tysięcy ludzi dziennie, tak, że trudno ich pomieścić.

— Przepraszam, czy pan może oprowadza po mieście? — spytał kapral z Siedlec, Tkacz.

— Tak jest, proszę pana, jestem przewodnikiem.

— A co to za pałac w ogrodzie?

— To renesansowa willa sekretarza Zygmunta Starego, niejakiego Justusa... Stąd i nazwa wsi: Wola Justowska... Bardzo piękny zabytek z XVI wieku, dzieło włoskich architektów.

— A dlaczego te skały nazywają się „Panieńskie“?

— Legenda mówi, że w roku 1241-ym, podczas napadu Tatarów, zakonnice, inaczej „panny“ z klasztoru Norbertanek na Zwierzyncu — tego, który widzieli panowie z Błon, schroniły się w tym lesie. Według podania skały zamknęły się same, broniąc Tatarom dostępu, i w ten sposób „panny“ ocalały...

Teraz posypały się rozmaite pytania, na które biegle i z wprawą a niezwykle uprzejmie odpowiadał przewodnik. Mówił o stylach, o dziejach każdego zabytku, wymieniał daty, cyfry, dorzucał jakieś ciekawe opowiadania, anegdoty, legendy i t. d., przywiązane do dawnych budynków, czy zakątków Krakowa. Gdy niektórzy z uczestników dziwili się jego wiedzy i znajomości przedmiotu, wyjaśnił im, że Kraków na wzór zagranicy już od kilku lat posiada

zawodowych a wykształconych przewodników. Ze względu na wyjątkowe znaczenie Krakowa, na jego zabytki, na jego rolę nietylko historyczną, ale i dzisiejszą, było to konieczne. Poza tem Kraków żyje z turystów. Dlatego też okazało się rzeczą niezbędną znaleźć przewodników, znających dobrze również języki obce.

— Proszę panów, przyjeżdża do nas bardzo wielu cudzoziemców. Nietylko uczestnicy jakichś oficjalnych wycieczek, którzy ograniczają się do zwiedzenia np. Wawelu, Muzeum Narodowego lub Czartoryskich i kościoła Marjańskiego, potem zaś zjadają dobry obiad i na tem kończą zwiedzanie, aby jechać do Wieliczki i Zakopanego. Coraz częściej przybywają do Krakowa grupkami, lub nawet po trzech, dwóch, Anglicy, Niemcy, Amerykanie i t. d., nie mówiąc o najbliższych sąsiadach, jak Czesi i Węgrzy. Dawniej ci ludzie byli skazani na słuchanie nonsensów i głupstw, opowiadanych przez przygodnych przewodników. Proszę zrozumieć, że kompromitowało nas to w oczach kulturalnych gości z zagranicy. Czasem przyjeżdża ktoś tylko w związku z jakimś szczególnym celem. Są np. tacy, którzy jadą do Krakowa wyłącznie dla ołtarza Wita Stwosza. Są Anglicy, których interesuje tylko jedna jedyna rzecz, np. obraz Leonarda da Vinci w Muzeum Czartoryskich. Albo kolekcja arrasów wawelskich, będąca unikatem. Trafili się Japończycy, którzy chcieli obejrzeć zbiór wyjątkowo pięknych i rzadkich drzeworytów japońskich w Muzeum Feliksa Jasieńskiego. Kraków posiada rzeczywiście wyjątkowe skarby. Nie mówiąc o pięćdziesięciu sześciu kościołach, czterdziestu klasztorach i siedmiu synagogach, w czem jedna jest najstarsza w Polsce — mamy w dwustogłównym mieście kilkanaście muzeów...

— Kilkanaście? — zapytał ktoś.

— Samo Muzeum Narodowe, którego wielki gmach stanie za kilka lat przy zbiegu Wolskiej i Alei 3-go Maja, posiada sześć oddziałów, a więc Sztukę Współczesną w Sukiennicach, Muzeum Czapskich, Jasieńskiego, Barącza, Dom Matejki i Wieżę Ratuszową. A są przecież inne. Oprócz wspomnianego Muzeum Czartoryskich, które, mając Leonarda da Vinci, poszczycić się może obrazami np. Rembrandta, Murilla, van Dycka i t. d. oraz przepiękną zbrojownią — są muzea rozmaite, jak przemysłowe, etnograficzne, uniwersyteckie, diecezjalne, fizjograficzne i inne. Dodajmy wystawy obrazów, kolekcje prywatne, zbiory klasztorne, dalej zabytki ukryte w starych podworcach i bramach i t. d. i t. d. Niema prawie wybitniejszej kamienicy, do której nie byłaby przywiązana jakaś legenda czy anegdota historyczna. A biblioteki? A skarbcze? A ileż najrozmaitszych obrzędów, jak Wianki, Lajkonik, Rękawka! Poza tem trzeba uwzględnić najbliższą a przepiękną okolicę, pełną starych klasztorów, ruin i zabytków. O dwa kroki mamy nietylko Bielany, Tyniec lub Tęczynę, ale i puszcę Niepołomicką, również jak kopalnie wielkie. Kraków to jakby lekcja historii polskiej.

Nietylko historii samej, bo i wykład poglądowy dziejów naszej kultury, literatury, nauki... I na samych zabytkach Kraków nie kończy się. Przeciwnie, są w nim rzeczy nowe, stworzone w ostatnich latach, które stawiają Kraków w rzędzie najbardziej interesujących nowożytnych miast...

— Naprzykład? — spytał Antek.

— Naprzykład? O, choćby ten Lasek Wolski, do którego wjeżdżamy. Albo — panowie są asami naszego sportu — proszę zatem uwzględnić ilość boisk sportowych z krytymi trybunami: Cracovia, Wisła, Garbarnia, Makkabi, Stadjon Wojskowy... Albo kliniki krakowskie... Lecz mówiliśmy o Lasku Wolskim! To perła prawdziwa i zarazem przedmiot zrozumiałej zazdrości wszystkich zwiedzających. Proszę sobie wyobrazić: w niespełna kwadrans dostajemy się z centrum miasta do tego rezeruaru zieloności, słońca i zdrowia, jakim jest kilkusetmorgowy las, dostępny dla każdego mieszkańca zapomocą autobusów. Obok zielonej obręczy Plant, obok wielu ogrodów, jak Botaniczny, Strzelecki czy Planty Dietlowskie, Lasek Wolski wspólnie z olbrzymią przestrzenią Wielkich i Małych Błoni stanowi płuca Krakowa. Zobaczycie panowie prześliczne ścieżki, polanki pełne wyjątkowego uroku, a przedewszystkiem niedawno założony, wzorowy zwierzyńiec... Ale już trzeba wysiadać. Jesteśmy na miejscu!

Wysiedli. Na rozległej, zalanej słońcem polanie powitał uczestników biegu jeden z wiceprezydentów miasta, zwracając się przedewszystkiem do zdobywcy pucharu, t. j. do Antka. Samo słowo „puchar“ żgnęło Antka w serce i rozwarło zablizniające się zwolna, bolesne rany.

— Wiem, wiem! — mówił wiceprezydent. — To już znana historia. Ale puchar znajdzie się! To przecież nie szpilka! Zanim jednak znajdzie się puchar srebrny, proponuję panu inny puchar. Trochę mniejszy i z mniej kosztownego kruszcu, ale zato słodki: puchar lodów. Podobno są doskonałe...

Wiceprezydent wziął Antka serdecznie za ramię i poprowadził w kierunku obficie zastawionych stołów. Proponowany puchar wyglądał okazale. Na wierzchu, wśród spienionej śmietany, widniał kawał ananasa, dalej w dolnych warstwach słyż ułożone jedne na drugich różne gatunki lodów. Były pyszne. Roztopiały się wolno w ustach, a z niemi razem tajało i zmartwienie...

V

ZYGMUNT I KOŚCIUSZKO

Zapadał zwolna wieczór. Na smukłych arkadach wawelskiego dziedzińca kładły się czerwone blaski zachodu. W świetle tem wydawało się Antkowi, że strzeliste kolumny już nietylko lekkie są,

ale poprostu lekkomyślnie zbudowane.

— Jakże można tak stawiać?! Przecież one nie wytrzymają! Muszą kiedyś zawalić się!

— Panie, stoją tak od czterystu lat. Wytrzymały wszystko: dziesiątki pożarów, oblężeń i rabunków. Wytrzymały jeszcze więcej, bo rozbiory i ruinę Polski. Potem było tu schronisko dla biednych, następnie koszary austriackich żołnierzy, a królewski pałac Zygmun-tów przetrwał wszystko i dziś jest tak silny, jak przed wiekami. Kto wie, czy nie silniejszy...

Przewodnik mówił cicho dalej. Przyjeżdżają tu Polacy z Ameryki. Ludzie przywykli do nowojorskich drapaczy chmur. Ludzie nowożytni, twardzi. Na widok Wawelu płaczą. Są znowuż tacy, którzy muszą być na Zamku kilka razy do roku, aby nacieszyć się widokiem tego, co narasta, wydobywa się z pod pyłu zapomnienia, z pod wiekowych gruzów. Bo Wawel rośnie z dnia na dzień, potężnie, rozkwita...

Skończyła się tymczasem pauza, i chór czeskich kolejarzy, przybyły do Krakowa z wycieczką, rozpoczął dalszy punkt koncertu. Śpiewali jakąś pieśń rycerską o rytmie bujnym, potoczystym i chwilami tak huczna, że aż podrywało się ptactwo z wieży zegarowej. Antek przymknął oczy. Zdawało mu się, że rozległe kruzganki zaroily się teraz tłumem dworzan i rycerzy. Zakwitnęły stroje bogate i przebarwne, błysnęły pancerze. Na środkowym kruzganku stał król jegomość z królową i królewiczem, obok nich Stańczyk...Przyszli patrzeć na turniej...Huczały trąby z wież, dzwoniły kopyta końskie o bruk, trzaskały tarcze i kopje. Rozegrał się cały Wawel.

Nagle skończyła się pieśń. Antek otworzył oczy. Nie było ani obojga królestwa, ani Stańczyka, ani rycerzy. Ale sam pałac wydał mu się jeszcze wyższy, kolumny jeszcze lżejsze, jakby sięgały nieba. Wawel i bez króla był królewski!

Chór czeski na zakończenie programu wykonał jeszcze jedną pieśń, tym razem po polsku. Zerwały się więc oklaski i krzyki „Na zdar!“, po czym tłum powoli zaczął opuszczać dziedziniec, kierując się przez sklepioną bramę ku wyjściu. Jednakże na zewnętrznym dziedzińcu, jak i przed wejściem do katedry oraz na dole, pod Zamkiem, zebrały się setki, tysiące ludzi. O siódmej dzwonić miał Zygmunt. Wypadek rzadki niezmiernie, bo dzwon ten dzwoni zaledwie kilka razy do roku i przy okazjach niezwykłych. Ale dzisiaj z racji zakończenia jakichś wielkich uroczystości kościelnych w Rzymie odezwać się miał wyjątkowo, o czym z dzienników dowiedzieli się wszyscy.

Antek stanął z innymi w bramie tuż obok pomnika Kościuszki. Miasto leżało głęboko w dole, pełne wież i zieloności. Było ciche. Czekano na dzwon. Ludzie patrzyli w górę, skąd za chwilę zagrać miał Zygmunt. Pierwsze uderzenie śpiżowego serca stłumiło szepty zebranych.

Był w potężnym głosie Zygmunta majestat królewski. Dźwięk padł jak rozkaz w miasto, które wstrzymało oddech... Uczestnicy wycieczki czeskiej pierwsi zdjęli kapelusze. Wśląd za nimi poszli i inni.

Cicho było a dzwon grał. Drugie jego uderzenie było ciepłe, gorące prawie. Następne rozkołysały powietrze. Drżało wzgórze Wawelu, drżały promienie zachodzącego słońca. Dźwięk Zygmunta, ten dźwięk jedyny, szedł górą, właśnie po promieniach słońca, które były jak struny harfy Dawidowej. Dźwięk szczerzoty, pełny a grający echem stu armat zdobycznych. Słucha się go sercem wezbranem. I chciałoby się, aby dzwonił bez końca. Słuchacza ogarnia lęk, że ten głos ustanie za chwilę i w powietrzu uczyni się niezmierna, głucha próżnia.

Ale jeszcze nie ustał. Bije! Wali! Grzmi! I — rzecz dziwna — oprócz siły ma w sobie dobroć, słodycz. Huczy, ale i pieści zarazem. Grają w nim wieki. Tętni czterysta lat! Pędzi skrzydłata husarja, szumią proporce, rozwinięte na wiatr, jak żagle...

Miasto, wszystkie ulice, po brzegi pełne są złotej melodji. Nawet gdy dzwon umilknie, zostaje coś w powietrzu, w murach, w sercu. Coś niezapomnianego. Uderzenia są coraz wolniejsze, słabsze, ale z każdą chwilą jeszcze bardziej uroczyste. Kończą się wreszcie, giną, a ludzie stoją długo, długo, nie śmiejąc ust otworzyć. Ocknąć się można dopiero w dobrą chwilę później.

Antek, słuchając, zapomniał o wszystkim. Nawet o zgubionym puharze.

— Warto było posłuchać — szepnął kapral Tkacz. — Warto! Mieliliśmy szczęście!...

Szli tym razem do teatru, gdzie wyznaczono im miejsca na balkonie pierwszego piętra. Oprócz nich znalazły się tam inne także wycieczki, więc czeska, dzieci ze Śląska i z pod Łowicza, górale, podchorążowie, co jeszcze bardziej dodało kolorów pięknej widowni teatru. Podniosła się ciężko żelazna kurtyna, aby odsłonić kurtynę drugą, pendzla Siemiradzkiego. Ona, sama jedna, wystarczyłaby za przedstawienie: na tle burzliwego nieba i kolumn portyku ponure postacie tragedji z lewej strony, z prawej zaś słoneczna, roztańczona, unosząca, się ku błękitowi alegorja komedji. W samym środku, w kapiącej od słońca absydzie, postać Sztuki. A wszystko oblane purpurą, blaskiem, skąpane w jasnych, promiennych farbach i takie jakieś żywe, namacalne, że wierzyć się nie chce, aby to miał być obraz tylko.

Lecz za chwilę światło zgasło. Kurtyna poszła błyskawicznie w górę. I znowuż ukazał się Kraków. Ten sam, tylko malowany. Kraków z przed stu czterdziestu lat. „Kościuszeko pod Racławicami“ Anczyca. Znowuż rynek i ratusz, i Sukiennice, i rozradowany tłum. Wchodzi Naczelnik. Zrywa się huragan oklasków. Padają mu

kwiaty pod nogi. Wojsko prezentuje broń wśród bicia w bębny. A potem Naczelnik wdziewa białą prostą sukmanę chłopską. Wyciąga poświęcaną szablę z pochwy. I w ciszy padają słowa :

"Ja, Tadeusz Kościuszko, przysięgam w obliczu Boga całemu narodowi polskiemu, iż powierzonej mi władzy na niczyj prywatny ucisk, ale jedynie dla obrony ojczyzny, przywrócenia niepodległości i ugruntowania swobód narodu używać będę. Tak mi dopomóż, Panie Boże i niewinna Syna Twego męko!..."

Hejnał pieje z wieży Marjackiej, biją wszystkie dzwony i kurtyna spada. Spada, ale podnosi się nieskończoną ilość razy. Antek zaś ma łzy w oczach. Co tu gadać, poprostu beczy. Jest wściekły na siebie, ale nie może oprzeć się. Zresztą widzi, że i Kozak pociąga nosem. Inni także. Barczysty kapral z siedleckiego pułku piechoty nie krępuje się bynajmniej i wyciąga olbrzymią, kolorową chustkę. Więc i Antek pofolgował sobie odrobinę. Trudno, żeby kto nie wiem jak chciał, nie obroni się.

Ani podczas przysięgi, ani w następnych aktach. Ludzie płaczą i śmieją się naprzemian. Śmieją się z tchórza Katkowa i z prezydenta Lichockiego, z panny Filomeny i ze starych szlachciurów, Nicefora i Onufrego, z ekonoma Radzika, który chłopów radzi trzymać ostro, ale gdy przyszła chwila, ciska swój pańszczyźniany bat i z chłopami razem idzie na Moskała. Oto rzeź w Kozubowie: tańczą i śpiewają pijani żołdaci. Nagle zapłonęła stodoła. To umówiony znak! Wpadają chłopci z pałkami, cepami, kłonicami. Co kto miał pod ręką, to złapał i pierze Moskali, ile wlezie... Potem kucie kos, wymarsz kosynierów rządowickich, opowiadanie lirnika, i pieśń „Drency lud biedny“... Wśród śmiechu i łez rośnie coś pod gardłem czy w sercu, rośnie, wzbiera, aż wreszcie przy bitwie raclawickiej wybucha, strzela pod kopułę teatru, który wali się od oklasków. Kościuszko na koniu, Bartosz Głowacki z kosą, na niebie sztandar z Matką Boską Częstochowską...

Antkowi popuchły ręce. Siedziałby w teatrze do rana. Nawet podczas pauzy nie chciał mu się wstać z miękkiego fotela. Patrzył na wielki, świecący zyrandol i z żalem myślał, że niezadługo rozpocznie się ostatni obraz, a potem trzeba będzie iść do domu. Raczej na tę Kalwaryjską. W teatrze było gorąco i duszno trochę. Antrakt zaś przeciągał się nieco ponad miarę. I teraz powoli ranny bieg zaczął wychodzić z kości. Pozatem Antek ma w sobie pełno Krakowa. Kościoły i Lasek Wolski, Wawel i teatr, Matejko i Siemiradzki, wszystko to kołuje się przed oczyma. A w uszach jest Zygmunt i hejnał, i słowa Kościuszki. Obrazy i dźwięki skłębione, rozbite na tysiące barw, jak szkiełka kalejdoskopu. W złotych ramach kulis kręcą się postacie Hołdu Pruskiego, śpiżowy gladjator, Modrzejewska z portretu, Bartosz Głowacki, Neron... Szumi całe miasto, chwieje się wieża Marjacka, tańczy ratusz, kiwa się na wszystkie boki czerwony Barbakan...



Kościół Marjacki

W pewnej chwili Antek drgnął. Dostał bowiem porządnie kułakiem pod żebro.

— Chrapie pan, jak sto djabłów!

To kapral zbudził go nagle. Antek zawstydził się bardzo, na scenie zaś tymczasem Kościuszkę dokonywał aktu nobilitacji Bartosza Głowackiego. Zagrały bębny, wojsko sprezentowało broń i kurtyna — tym razem już na zakończenie — spadła. Jeszcze kilka uścisków dłoni, zwłaszcza pożegnanie z Kozakiem, „do następnego razu!“ — I Antek znowuż siedzi w tramwaju, w niebieskiej trójce, która go unosi ku Kalwaryjskiej. Ciotka nie śpi. W rękach ma jakiś papier, a w oczach wyraz przerażenia.

— Doczekałam się! Patrz! Na stare lata!

Antek spojrział na papier.

— Przecież to nie do cioci!

— Jakto „nie do mnie“? Wyraźnie Anna Cierniakowa!

— Ale dla Antoniego Zwolińskiego. Pewnie w sprawie puharu. Przecież nie może być nic innego. Pocóż mieliby mnie wzywać do komisarjatu?

— Właśnie! Komisarjat! Widziała cała kamienica, stróż, ci państwo zprzeciwka, wszyscy święci! U mnie był policjant! Chryste Panie! Wstydu się najadłam! A Pan Bóg jeden raczy wiedzieć, co mnie jeszcze czeka!

Antek uspokajał, jak mógł, ale ciotka desperowała w dalszym ciągu. Wreszcie, gdy usypiał już na posłaniu, przygotowanym w kuchence, usłyszał z pokoju ciotki nagły krzyk:

— Antek, chodź tu zaraz! Na miłość Boską, co ja zrobiłam!

Antek przybiegł natychmiast. Ciotka, łamiąc ręce, wskazała mu niewielką walizeczkę, z ciemnej skóry. Nie mógł zrozumieć, o co idzie:

— Nie moja! Przez pomyłkę wzięłam cudzą. W tramwaju! A tak rachowałam! Było dziewięć kawałków! Teraz wiem, dlaczego poszukuje mnie policja!

VI

DZIEWIĄTY KAWALEK...

— Co tam powiedzą w gimnazjum!?! — nie bez odrobiny lęku myślał Antek, ubierając się rano. — Poniedziałek! Pierwsza godzina-historja. Znowuż Lechnicki zacznie urągać na sport... W dziennikach będzie, że wzięłam nagrodę. Możeby nie zauważył, tylko ta historja z pucharem.... Przecież gazety rozniosą to, jak amen w pacierzu. Nawet będą śmiali się ze mnie, że sobie dałem ukraść z ręki... A wszystko przez ciotkę!

Siedział już przy śniadaniu, gdy do pani Cierniakowej przybiegła zdyszana pani Zielińska. W ręku miała gazetę.

— Niech się pani popatrzy! Osmarowali mnie! Ja w gazecie! Przez ten głupi puhar!

Antek drgnął, ale słuchał dalej.

— Jadę sobie z rynku. Siedzę naprzeciw pani i rozmawiam z tą, no, z tą Urbanową. Koło siebie, pod ławką mam torbę, taką niedużą walizeczkę, tę ciemną, taką — wie pani...

Pani Zielińska urwała nagle, spostrzegła bowiem stojącą pod oknem swoją rodzoną torbę. Pani Cierniakowa wyglądała jak osoba, która za wszelką cenę pragnie zapaść się w ziemię. Było to jednak przy jej tuszy niemożliwą rzeczą. Tymczasem pani Zielińska szybko poddała dokładnym oględzinom ciemną torebkę.

— Moja! Tak, tu jest odrobinę przetarta na kancie. I ucho naderwane. To mi Józka zrobiła. Tak, na spowiedzi przysięgnę, że moja! W środku było trochę szynki, com sobie kupiła na kolację. I dwa jaja. No, szynka już do niczego, jajo jedno rozbite...

Pani Cierniakowej odebrało język. Wogóle był to paraliż małego kalibru. Pani Zielińska zaś ciągnęła dalej. Więc zagadła się z tą, no, jakżeż jej tam, z tą Urbanową. Nie zauważyła nawet, że pani Cierniakowa wysiadła. Ona dopiero na następnej stacji. Przychodzi do domu jakby nigdy nic. Torbę postawiła na stole. Patrzy: torba? Nie torba? Zagłada do środka: srebrne naczynie! Mater Dei! Może sobie pani wyobrazić, co się ze mną działo! Obiadu nawet nie tknęłam, tylko prościuteńko na policję...

Antek już od chwili wstrzymywał śmiech. Zwłaszcza zagryzł wargi wtedy, gdy zabrała głos pani Cierniakowa. Podług niej wogóle nonsensem było chodzić na policję. Przecież pani Zielińska mogła domyśleć się, czyj ten puhar, a nie tak odrazu na komisariat, jakby paliło się. Z tego dopiero będzie awantura arabska! A przedewszystkiem trzeba było uważać i nie brać puharu!

— Kto miał uważać?! Ja? Przecież pani pierwsza pomyliła się! I czy ja jestem duchem świętym, żeby wiedzieć...

— Torbę wzięłam przez pomyłkę, ale zostawiłam ją w domu, wiedząc, że ktoś musi zgłosić się prędzej czy później... A przez panią mam wezwanie do komisariatu. Cała kamienica widziała wczoraj posterunkowego, który wypytywał stróża o panią Cierniakową...

— Ale mnie obabrali w gazecie. I piszą „poczciwa starowinka, niejaka Zielińska, zagadawszy się w tramwaju na ploczkach, porwała srebrny puhar zamiast swego koszyczka...” Uważa pani „poczciwa starowinka, niejaka Zielińska”! Nawet bez „pani”! Co oni sobie myślą! I ja nigdy żadnego koszyka nie noszę! A tytuł jest „Skutki gadulstwa kumoszek i tragiczne losy srebrnego puharu”... Kumoszka to niby ja! Niejaka...

— Antek, nie śmieć się! — krzyknęła ostro ciotka. — Wszystko przez ciebie, a ty jeszcze śmiejesz się!

Pani Zielińska dopiero teraz spostrzegła Antka, który dusił się ze śmiechu. No więc użyła sobie! Na Antku skrupiło się. Pani Zielińska

była jak karabin maszynowy. „...I nietyle prędkich słów gniewne usta miecą”... O, Mickiewicz nie znał pani Zielińskiej, inaczej bowiem nie napisałby tego wiersza w „Reducie Orzona”. Pani Zielińska mówiła błyskawicznie, wcale nie nabijając. Nie nierała nawet tchu. Oddech według niej byłby funkcją zbyteczną, utrudnieniem raczej niż pomocą. Jedno zdanie popędzało drugie. Biła wszystkie rekordy szybkości. Na nic zdały się wysiłki pani Cierniakowej, która bodaj od czasu do czasu pragnęła wścibić jedno choćby słówko. Pani Zielińska mówiła tak gęsto, że już nie było miejsca dla nikogo innego. Finiszowała, mówiąc, co należy się starszej kobiecie ze strony smarkacza. Młody człowiek powinien mieć w głowie choćby kapkę oleju, powinien uważać i nie porywać cudzej torby! Maratończyk...

Tu odetchnęła po raz pierwszy i z kolei przeszła na panią Cierniakową, której dostało się także. Bo właściwie wszystko przez nią. Jeździ do Częstochowy, a tymczasem...

Urwała nagle w pół słowa, chwyciła nieszczęsną torbę i potoczyła się jak kula. Pani Cierniakowa za nią. Jednym susem znalazła się w progu, wołając: „Co tymczasem?” — ale pani Zielińskiej już nie było. Ciotka, czerwona z irytacji, stała w drzwiach, i widać było, że tego „tymczasem” nie zapomni pani Zielińskiej do śmierci. Nie mogła przez dłuższy czas uspokoić się. Antek zaś, kończąc przerwane śniadanie, czytał zapomniany przez panią Zielińską dziennik: „Wspaniałe zwycięstwo rzeszowskiego lekkoatlety”. I dwie fotografie. Przyszedł w świetnej formie... No, chwala Bogu! To najważniejsze.

— Ciociu, proszę czytać: „Niebezpieczny rywal Kusocińskiego...”

— Co za Kusociński? Był tu rymarz w Podgórzu, Kusociński, ale dawno przeniósł się do Krakowa...

Antek machnął ręką. To było beznadziejne. Przeprosił ciotkę za wszystkie kłopoty i wziął pieniądze na bilet.

— Już mi nie odsyłaj pieniędzy. Tylko na przyszły raz, jak przyjedziesz, pamiętaj, żeby się obeszło bez takich historyj, jak teraz z tą Zielińską! Poczciwa starowinka... „Jeździ do Częstochowy, a tymczasem...” „O, tego jej nie daruję! Tu masz dla matki obrazek na srebrnej blaszce. I ucałuj matkę ode mnie. Powiedz, że trzymam się jako tako. A na pieniądze uważaj, żeby ci kto znowu nie wyciągnął z ręki... Bo ty z tem wiecznym roztrzepaniem twojem...”

Podziękował ciotce, wziął swoje zawiniątko i poszedł. Tym razem wybrał drogę inną, przez nowo zbudowany most Piłsudskiego. Miał ochotę postać dłużej nad Wisłą i patrzeć. Ciągnął w górę statek, holując długi sznur galarów. Ujęta w szerokie, kamienne bulwary, świeciła Wisła jak lustro. Można było na nią patrzeć bez końca. Ale Antka poderwało. Trzeba iść na policję. Wprawdzie puhar jest tam na pewno, jednak wolałby już mieć go w ręce. Dla wszelkiej pewności.

Na policji dowiedział się, że ma przyjść dopiero o jedenastej. Pociąg do Rzeszowa odchodzi przed samą dwunastą. Więc zdąży na czas. A teraz niema jeszcze dziewiętej. Ten przewodnik mówił wczoro-

raj, że codziennie już od wczesnego rana jest na Wawelu. Możeby go poszukać?

Z Grodzkiej skręcił w Kanoniczną. Stara, cicha ulica, domy dziwne, posępne nieco, ale piękne. Każdy inny i każdy ma wspaniałą, zajrzał więc Antek do środka i zobaczył podwórzec bez porównania zajrzał więc Antek do środka i zobaczył podwórzec bezporównania mniejszy niż wawelski, ale także otoczony arkadami, zdobnemi w herby krakowskich kanoników. Od stróża dowiedział się, że ta kamienica nazywa się „Dziekańska“ i że także w innych domach są takie piękne dziedzińce. Lecz nie było czasu. Szedł więc ku Wawelowi, który w perspektywie uliczki błyszczał obu wieżami katedry. O ostatnim domu na prawo wiedział Antek, że był to dom Długosza.

— Tak, a później, jako dziecko, mieszkał tu Wyspiański...

Na zamku, w biurze odbudowy, powiedziano Antkowi, że przewodnik wyszedł chwilowo, ale wróci najdalej za pół godziny. Szkoda! — pomyślał i sam już wszedł do katedry. Znał ją, wolałby jednak mieć koło siebie kogoś, kto umie opowiedzieć historię każdego pomnika, każdej kaplicy, każdego kamienia nieledwie. Katedra pusta była o tej porze. Dlatego Antek szedł na palcach, nie chcąc budzić echa. Stawał przy sarkofagach, zaglądając w twarze śpiącym królom. Warneńczyk leży w pełnej zbroi. W ręce ma miecz. Marmurowy Jagiełło śpi pod baldachimem, a strzegą go psy i sokoły. Kazimierz Jagiellończyk ma strój koronacyjny, w ręce berło i jabłko. Św. Jadwiga jest biała jak śnieg. Uśmiecha się przez sen i u jej nóg leży bukiet świeżych kwiatów, które chyba położył tam ktoś dzisiaj, przed chwilą, bo na kwiatkach jest rosa. Piękna królowa...

Antek błędził wśród pomników i kaplic. Był w labiryncie z marmuru. Srebro błyszczało olbrzymią bryłą trumny św. Stanisława, dzwiganej przez czterech klęczących aniołów. Złoto kapąło z chóru. Złoty był i Dawid, równie jak jego harfa. Gobeliny wszystkimi barwami tęczy spływały wzdłuż białych arkad. Antek był w lesie historii, w nieprzebytej gąszczu dziejów. Gubił się w tem bogactwie, myśląc sobie, że na dobrą sprawę nietylko w Krakowie, ale w samej katedrze trzeba by posiedzieć kilka dni, aby zobaczyć bodaj część tylko. O, tu jest skarbiec, tam znowu wejście na wieżę, tu czarny krucyfiks ze strzemieniem wielkiego wezyra, tam kaplica Zygmuntowska, tutaj grób Mickiewicza i Słowackiego...

— 50 groszy wstęp... A, wszystko jedno, pójdę!

Pierwszy leży Mickiewicz w białym sarkofagu, drugi, w czarnym, Słowacki. I oba groby zasypane kwiatami. Na jednej szarfie napis „Wycieczka z nad srebrnej Ikwy“...

*Ty będziesz widział moje białe kości,
W straż nie oddane kolumnowym czołom.
Alem jest, jako człowiek, co zazdrości
Mogil — popiołom . . .*

— Nie, nie. Ma już tę mogiłę! I leży z królami. Po tyłu, tyłu latach...

Ten sam bilet za pięćdziesiąt groszy uprawniał również do zwiedzenia grobów królewskich, leżących po przeciwnej stronie katedry. Zszedł więc Antek do podziemi. Pierwszy na lewo ks. Józef, dalej Kościuszko, potem trumienka małego królewicza, synka Władysława IV-go. Jest tych trumienek dziecinnych więcej. A królewskie są olbrzymie, zwłaszcza Augusta Mocnego. Lecz Antek najdłużej stał nad trumną Batorego, choć prostsza była i nie tak bogata jak inne. To był król!

Wyszedłszy z katedry na zalany słońcem plac, Antek musiał zasłonić oczy. A już tam był wczorajszy przewodnik.

— Dzień dobry panu! Puhar znalazł się, czytałem. Chwała Bogu! No, pójdziemy teraz zwiedzić pałac królewski. Wstęp kosztuje złotego, ale dla pana może będzie taniej. Kto wie, czy nie za darmo...

Istotnie, od wczorajszego triumfatora nie chciano wziąć pieniędzy. Wyjątkowo! Weszli więc w dziedziniec i teraz dopiero Antek zrozumiał, co znaczy mieć takiego towarzysza, jak ten przewodnik. W niespełną godzinę zyskał więcej, niż mógłby osiągnąć nawet po kilku dniach samotnej włóczęgi. Przewodnik jasno, krótko opisał dzieje pałacu. pokazał dziwny a najstarszy na ziemiach polskich kościółek św. Adaukta i Feliksa, który niedawno odkopano. Umiał wyjaśnić wszystko, co zachowało się ze starości, a co trzeba było dodać, zrekonstruować starannie.

— O, tu jest baszta Senatorska, gdzie Samuel Zborowski oddał głowę pod topór. Tamta wieża nazywa się Lubranka. Tam Kurza Stopka, a tam znowuż, nazewnątrz, były ogrody królewskie i menażerja...

— Menażerja?!

— A, tak, lwy, niedźwiedzie i inne dzikie zwierzęta. Był nawet stały pogromca, który nazywał się po łacinie „monstrator leonum in arce“. A Zygmunt August kazał sobie stąd aż do Wilna posyłać ulubioną lwicę... Karmili te zwierzęta Żydzi krakowscy, do których obowiązków to należało...

— Dziwne!...

Jeszcze bardziej zdziwił się Antek, gdy weszli do wnętrza pałacu i gdy przewodnik roztoczył przed nim cały królewski przepych Wawelu. Umiał opowiedzieć coś ciekawego o każdej niemal sali, począwszy od parterowych, a więc najdawniejszych, gdzie wiszą stare chorągwie i gdzie stoi olbrzymi namiot turecki, zdobytyc wiedeńska. Antek zatrzymał się dłużej przy zbrojowni, pełnej wspaniałych pancerzy i rzędów, a zwłaszcza broni siecznej, ale trzeba było iść dalej.

— Tu chorągiew Zygmunta Augusta, a to jedna z najcenniejszych relikwii polskich: Szczerbiec...

Sale ciągnęły się bez końca. A jedna piękniejsza od drugiej. Marmurowe kominki, wysokie piece z barwnych kafli, gobeliny, arras, broje, obrazy, ławy szerokie i szafy gdańskie, ściany wybite beczennym kurdybanem, stropy malowane, fryzy, błyszczące, mosiężne pajaki... I z każdego okna przepiękny widok na całe miasto, leżące, jak na dłoni, u stóp zamku.

— Tu sala, w której Twardowski pokazał nieutulonemu w żalu królowi ducha zmarłej Barbary, tu znowu Zygmunt III zajmował się alchemią, to sala zwana „Pod ptakami“... Niech pan spojrzy, jakie to wszystko bogate a równocześnie skromne. Prawdziwie królewskie!... Tu znowu są prywatne apartamenty Pana Prezydenta w razie, jeżeli przyjeżdża do Krakowa. A teraz pójdziemy do sali największej i najpiękniejszej zarazem...

Poszli więc na drugie piętro, do olbrzymiej sali Poselskiej, inaczej „Sali pod głowami“, gdzie w głębi stał tron na podwyższeniu. Sala, w której ludzie mimowoli mówią szeptem...

— A te głowy rzeźbione na stropie? — spytał Antek.

— Mają także swoją legendę. Podobno jedna z nich odezwała się do Zygmunta Augusta: Rex Auguste, judica juste...

— Piękna sala! — rzekł w zamyśleniu Antek.

Lecz zegar zamkowy wybił jedenastą. Trzeba było pożegnać się z przewodnikiem i bieć do komisarijatu.

— Niechże pan nie zgubi jeszcze raz! — śmiał się komisarz, oddając puhar.

— Mowy niema! — odpowiedział Antek i z pucharem w ręku puścił się w stronę dworca. Teraz już trzymał pudełko z całych sił...

I wszystko byłoby w porządku, gdyby nie pewna drobna okoliczność. Oto chłopiec jakiś, sprzedający gazety, poznał Antka. Poznał i pokazał innym. A to były takie zwyczajne andrusy. Takie krakowskie. I odrazu zaczęli robić kawały.

— Panie, trzymaj pan puhar, bo panu zwędzał!...

— Sznurkiem go pan przywiąż, żeby dojechał do Rzeszowa!...

— A najlepiej cioci oddać na przechowanie!...

Antek zaciął zęby i tylko przyśpieszał kroku. Przecież bić się z nimi nie będzie. Żeby to jeszcze było w ciasnej ulicy, na odludziu, a, to co innego. Ale tak, w biały dzień, koło dworca?

Spojrzał więc tylko z godnością na nich i szedł dalej.

To pewna jednak, że te niestosowne żarty zadręziły Antkowi drogę powrotną, dolewając do srebrnego pucharu odrobinę goryczy...

Kraków, przed wojną.

EPILOG.

I

BO JESTEM NIEŚMIERTELNY...

Antek nie zgubił pucharu ani wtedy, jadąc z Krakowa do Rzeszowa, ani też gdy później; później wybrał się z Rzeszowa do Krakowa. To było niespełna w tydzień po śmierci matki. Już dawno nie mieszkali na ulicy Kościuszki, bo zresztą ulicy Kościuszki nie było. Nazywała się teraz inaczej. Wypędzeni z mieszkania, przenieśli się na wieś, pod Rzeszów, stamtąd zaś musieli także wynieść się wkrótce, i osiedli w małym miasteczku, w Głogowie. Tam właśnie matka umarła. W dwa dni po pogrzebie Antek spakował trochę gratów do plecaka, więc koszulę jakąś, buty na zmianę, i wogóle wszystko, co mogło się przydać. Zabrał także i tę rzecz, która przydać się nie mogła, ale której zostawić nie chciał za nic. Zabrał puhar, srebrny puhar Krakowa.

Z Głogowa wyszedł rano i popołudniu znalazł się w Rzeszowie. Na Staromieściu spotkał gospodarza klasy, Stachowicza, tego od łaciny. Profesor kroczył zamyślony, mijając jednak Antka, podniósł głowę, spojrzał smutnymi oczyma, które rozjaśniły się nagle.

— O, Zwoliński! Nie myślę się przecież: Antoni Zwoliński! Siedziałeś w trzeciej ławce, prawda?

— Tak jest, panie profesorze.

— I żyjesz? Chwała Bogu! Dobry był z ciebie chłopiec... A wiesz, że pana profesora Lechnickiego aresztowali wczoraj i wywieźli?

— Profesora Lechnickiego? Za co?

— Uczył historii. Historji Polski. U siebie w domu. Przychodziło tam trochę chłopców i pańienek z liceum. Właśnie wczoraj była rewizja i...

Stachowicz zamyślił się i przerwał opowiadanie, Antek zaś spojrzał na swego dawnego gospodarza klasy, bystrym wzrokiem obrzucił jego ubranie i kapelusz, zatrzymując oczy na butach, podartych i zniszczonych. Stary profesor, ogolony i czysty jak zawsze, był ubrany jak żebrak. Twarz miał chudą, włosy siwe zupełnie, w war-gach ani kropli krwi.

— Wiesz, teraz, po aresztowaniu profesora Lechnickiego, muszę zamiast łaciny poprowadzić historję. Historję Polski. To bardziej potrzebne niż łacina. Tak, przypomnę sobie trochę i zacznę uczyć. Możebyś i ty przychodził do mnie? Ja będę uczył za darmo...

— Dziękuję, panie profesorze, ale... Nie mogę, bo...

— Bo co?

— Bo ja dzisiaj właśnie... wybieram się daleko. Bardzo daleko... Byłbym to zrobił wcześniej, ale nie mogłem wyjechać... Matka chorowała i umarła pięć dni temu, więc... Więc jestem sam i właśnie

dzisiaj idę w daleką drogę... Rozumie pan profesor ?

— Rozumiem, rozumiem... To bardzo daleka droga, ale ty masz lat osiemnaście, no, i jesteś szybkobiegaczem... Przecież ty swego czasu wygrałeś puhar. Masz go jeszcze?

— Mam!—rzekł Antek, machinalnie macając plecak.

Profesor spytał, czy Antek jadł coś dzisiaj, bo gdyby nie, to może coś się znajdzie. Niewiele bo nie wiele, ale dla obu wystarczy. Ponowił zaproszenie lecz Antek podziękował stanowczo. Już słońce zachodzi, trzeba iść na dworzec.

— Prawda, godzina policyjna. Oho, gdzieś strzelają! — rzekł profesor. — Antek, życzę ci, abyś dobiegł do mety. Strasznie daleka droga, ale ty jesteś młody i silny. Dobiegiesz, dobiegniesz! I mądrze robisz, idąc do nich, a ja już tu zostanę. Będę uczył historii. Historji Polski. Skoro Lechnickiego uwieźli, ktoś musi...

Rozstali się. Antek znał dworzec rzeszowski jak własną kieszeń. Przecież ojciec był majstrem w warsztatach kolejowych i matka jeszcze do niedawna brała emeryturę. Spotka jakiegoś kolegę ojca, choć tam pozmieniało się wszystko, ale ktoś jeszcze chyba został. W najgorszym wypadku da sobie sam rady i pojedzie na dachu czy na osi.

Właśnie zaszedł ten wypadek najgorszy, bo warsztaty i ogrzewalnia były obstawione wojskiem. Zresztą, drogę z Rzeszowa aż do Biadolin, przejechał Antek wcale gładko i nawet nie zmarzył, bo noc była ciepła, lipcowa. W Biadolinach wyskoczył na tor, potem przesiedział u znajomego zwrotniczego dzień cały, zjadł coś, wyspał się, a z nastaniem wieczoru, w warunkach już bardzo dobrych, bo w pustym wagonie bydlęcym, pociągnął dalej, by następnego dnia, rano, znaleźć się w Krakowie. Pociąg przejechał przez most i zwolnił niedaleko Grzegórzeckiej, z czego skorzystał Antek i zbiegł po nasypie w puste jeszcze o świcie ulice. Pod murem cmentarza żydowskiego wyciągnął się i zasnął twardym snem, by zbudzić się, gdy słońce stało już wysoko.

Trafił sam, nie pytając nikogo o drogę, na Planty. Ciotka zawsze rano idzie do kościoła, czyli że jest czas. Lepiej przejść się jeszcze po ulicach, lepiej nalykać się Krakowa, bo go nieprędko chyba zobaczy z powrotem. O, tu jest Pałac Prasy, tylko teraz wychodzi tam inna, gazeta, A tu gmach Straży Pożarnej! Właśnie w tem miejscu wziął Kozaka, Tkacz zaś został dawno w tyle... O, a tu jest teatr! I na teatrze flaga. Nie grają „Kościuszki pod Racławicami“ tylko jakąś „Minne von Barnhelm.“ I na województwie także flaga. I na banku także.

— Psiakrew!

Skierował się w ulicę Florjańską. Ludzie jedni biegli ku rynkowi, drudzy przeciwnie, uciekali z tamtej strony w pośpiechu wielkim. Ktoś zatrzymał Antka. Była to jakaś pani, osoba starsza, zdyszana i blada. Chwyliła Antka za rękę.



Ideał sięga bruku . . .

— Młody człowieku, niech pan tam nie idzie! Na miłość boską, niech pan tam nie idzie!

— Łapanka?— spytał.

— Nie. Coś gorszego. Lepiej niech twoje młode oczy nie widzą, lepiej niech nie patrzą, bo to jest rzecz straszna...

Rozpląkała się i pobiegła w boczną ulicę. Nie usłuchał jej ostrzeżeń i przecież poszedł w stronę rynku. Od Panny Marji aż po Sukiennice ciągnął się kordon wojska i policji, nie puszczając tłumy, który falował i szumiał. Antek przyszedł właśnie w chwili, gdy przystawiano drabinę do samej postaci poety. Obok, na stopniach fundamentu, nie było innych figur, nie było młodzieńca w greckim stroju, z mieczem. I nie było Poezji z lutnią na kolanach. Nie było dokoła pomnika nawet słupów kamiennych i łańcucha. Był tylko on. Zdawał się być jeszcze większy, wyższy i straszliwie samotny. Drabina, poruszana jakimś motorem, dosięgała już jego głowy z tyłu. Tłum ucichnął zupełnie i słycać było tylko szczękanie zębów, dzwoniących w skurczu szczęk. Niektórzy ludzie poklekali. Wszyscy zdjęli kapelusze. Ktoś płakał głośno. Ktoś kłął.

Antkowi zaparło dech. Tak samo jak wielu stojących obok, naprzężył mięśnie aż do bólu, wbił paznokcie w dłoń. Z czoła pot spływał kroplami. Stała się cisza jeszcze większa. Było głucho a słońce lało się strugą rozpaloną. Z daleka szła burza, lipcowa nawałnica, ale była dopiero w drodze.

Dźwignia, połączona z drabiną, zaczęła znowu działać i w ciszy odezwał się obrót jej trybów od którego dreszcz przeszedł obecnych. Już przywarła do głowy poety, który drgnął i pochylił się lekko. Ale stał. Jeszcze stał. Znowu odezwały się obroty dźwigni i poeta pochylił się tak, że zawisnął niemal w powietrzu. Trwało to krótko, wystarczyło jednak, by ręce tłumy połączyły się. Antek sam nie wiedział, kiedy chwycił kogoś stojącego obok za dłoń i ścisnął mocno, z całej siły. I nie wiedział, kiedy ktoś drugi tak samo, tym samym ruchem nagłym, wbił mu w ramię palce. Prąd przeszedł po wszystkich. Dłonie szukały oparcia i znalazły się razem, połączone, zaciśnięte w skurczu mocnym, nie do rozerwania.

Poeta stał. Zawieszony w powietrzu, dotykał stopami cokołu. Nagle pochylił się jeszcze bardziej i runął twarzą na bruk.

— Jezus Marja!

Huk był okropny. Poszło echo po rynku, po mieście. Zerwały się gołębie z wież marjackich i kołować poczęły jak szalone. Lecz przejechała je lękiem jeszcze większym cisza, która spadła nagle na miasto, przysiadły więc we wnękach murów i zamarło wszystko. Słońce świeciło ponurym blaskiem, przypiekając przed burzą. Ktoś szepnął słowa Norwida „Ideał sięgnął bruku,“ ktoś zaszlochał, a ci, którzy stracili pomnik z cokołu, cofnęli się, strwożeni własnym dziełem.

— Ten rynek nie takie rzeczy widział. On to przeżyje. On

zobaczy jeszcze inne rzeczy—mówił ktoś w tłumie półgłosem.—Ten rynek widział, jak niedaleko od tego miejsca książęta pruscy kłęczeli z gołemi głowami przed królem polskim. Nie od razu Kraków zbudowano, i nie od razu go zburzyć można...

Głos wydał się Antkowi jakby znajomy. Poszukał wzrokiem w tłumie i dostrzegł tego, który mówił. Prawda, to przewodnik z Wawelu! Rok temu, zaledwie rok... Policja zaczęła rozpędzać ludzi, padały już krzyki i uderzenia, Antek zaś pobiegł za przewodnikiem, zatrzymał go i przypomniał się.

— Tak, pamiętam pana! Puhar, puhar Krakowa...

— Mówił pan przed chwilą, że ten rynek zobaczy jeszcze rzeczy inne... Panie, czy...

— Zobacz, zobaczy napewno! On je nawet już widzi, dlatego taki jest spokojny! A jeśli pan ma uszy, może pan usłyszeć w rytmie ulic, w szumie rozmów, w oddechu miasta, głos czy szelest, jaki wydaje nóż, gdy go się ostrzy o kamień. Niech pan patrzy na tych dwóch obdartych i bosych andrusów: przechodzili koło Mickiewicza kilka razy dziennie i był im obcy, obojętny. Dzisiaj... O, jak patrzą! Dzisiaj, w tej chwili, stał się im bliski, jest ich własnością, pokochali go. Właśnie dlatego, że spadł z piedestału na bruk. On jest teraz w ich sercu!

— Prawda!—rzekł Antek, patrząc na obu chłopców.—A pan? Czy wolno wiedzieć, co pan teraz porabia, bo przecież chyba nie oprowadza pan po Wawelu...

— Nie. Ja teraz patrzę i liczę wszystko, co oni kradną, co wywożą. Notujemy, zapisujemy każdą rzecz, każdy drobiazg nawet!

— Z Wawelu wywieźli wszystko?

— Nie, jeszcze nie wszystko. Poza to część dało się uratować na czas. N.p. pamięta pan arrasy wawelskie?

— No, chyba!

— Są już za oceanem, w Ameryce. Ale reszta... Kradną, rozdzierają w strzępy, szarpią na kawałki, lecz oddadzą kiedyś, oddadzą z nadatkiem. I ten rynek zobaczy jeszcze rzeczy inne. O, słyszy pan: burza idzie na miasto i grzmi a przecież odróżniam w tym huku głos inny: to ostrzenie noża o kamień... No, lecę na Sienną, do Archiwum Akt Dawnych, bo stamtąd coś zaczynają wywozić. Do widzenia! Ujrzy pan jeszcze kiedyś inne chorągwie na tym rynku: białe-czerwone! Napewno!

Już go nie było. Antek spojrzął na pusty cokół pomnika i odczuł nagle znudzenie. Nogi, nogi ze stali, nogi atlety, ugięły się, jakby w przeczuciu zbyt dalekiej drogi czy biegu na przełaj przez świat. Słowacja, Węgry a potem co? Rumunja, Bułgaria, Turcja? Co po tych krajach? Jaka droga? Morze? I tak samemu iść, w pojedynkę?

Deszcz, gruby deszcz, idący z burzą, lunął jak z wiadra. Ludzie chronili się, uciekając do bram, Antek zaś pobiegł do kościoła. Tu,

u Panny Marji, modlił się rok temu przed innym biegiem. O, zmieniło się coś w tym kościele, i niema już wielkiego ołtarza, niema setek postaci, złocistych i barwnych, które jeszcze tak niedawno grały na wysokościach swą odwieczną pieśń. Niema Apostołów, i niema chóru anielskiego, i niema sceny Zmartwychwstania, koronującej ołtarz. Zabrali! Ukradli!

Jest za to po dawnemu, w mroku, ta sama kaplica Matki Boskiej Częstochowskiej. I po dawnemu ludzie kłęczą u krat. I te same słowa przyplływają na usta: „Kiedy zabiorę się do pracy, do której powołuje mnie obowiązek...” Czy obowiązek każe zostać tu, czy też iść? Matka przed śmiercią pozwoliła iść, wiedziała, że Antek wybierze się w tę daleką drogę, i ostatnie jej słowa były: „Idź! Niech cię Bóg prowadzi!”

Antek modli się teraz żarliwie, ze wszystkich sił, o powodzenie w tym biegu, który ma zacząć może już dziś. Modli się i nagle czuje, że ktoś kłęczący obok, wsuwa mu do ręki papier jakiś. Jest dosyć ciemno, trzeba zatem przysunąć się bliżej do świec, płonących u kraty. W ich blasku da się już czytać...

*„Ale ta miłość moja na świecie,
Ta miłość nie na jednym, spoczęła człowieku,
Jak owad na róży kwiecie,
Nie na jednej rodzinie, nie na jednym wieku:
Ja kocham cały naród! Objąłem w ramiona
Wszystkie przeszłe i przyszłe jego pokolenia,
Przycisnąłem tu do łona,
Jak przyjaciel, kochanek, małżonek, jak ojciec;
Chcę go dźwignąć, uszczęśliwić,
Chcę nim cały świat zadziwić...”*

— Mickiewicz! — szepnął Antek. Odwrócił kartkę i czytał dalej:

*„Lecz czuję w sobie, że gdybym mą wola
Ścisnął, natężył i razem wyświecił,
Możeby sto gwiazd zgasił, a drugie sto wzniecił!
Bo jestem nieśmiertelny...”*

— Prawda! — szepnął Antek i spostrzegł, że inni ludzie, kłęczący obok, mają w rękach takie same ulotki. Ktoś je rozdaje w krag. I teraz Mickiewicz jest własnością wszystkich, staje się kimś bliskim, drogim, kimś kochanym. Właśnie z tej przyczyny, że go strącono z piedestału na bruk... Czytają, czytają...

*„Ku niebu, on ku niebu ulata! ...
Jak baldachim rozpięta księga tajemnicza
Nad jego głową, ostantia lice.
Podnóżkiem jego są trzy stolice.
Trzy końce świata drżą gdy on wola;
I słyszę z nieba głosy jak gromy:
„To namiestnik wolności na ziemi widomy!
On to na sławie zbuduje ogromy
Swego kościoła!”
Nad ludy i nad króle podniesiony,
Na trzech stoi koronach a sam bez korony:
A życie jego-trud trudów,*

*A tytuł jego-lud ludów;
Z matki obcej; krew jego — dawne bohaterzy!
A imię jego czterdzieści i cztery.
Sława! sława! sława!”*

II

LEKTURA PANI CIERNIAKOWEJ.

Otworzyła mu nie ciotka ale ktoś inny, starsza jakaś pani, z twarzą owiązaną szalem.

— Niech pan wejdzie do środka, bo nie mogę stać na przeciągu. Fluksja! Okropna fluksja! Pan do pralni? Pralnia jest nieczynna od trzech dni, gdyż Anusia, t.j., chciałam powiedzieć, pani Cierniakowa, chwilowo nie pracuje. Niech pan zamknie drzwi, bo przeciąg taki, że... Fluksja, rozumie pan? A co się pan tak patrzy na mnie?

— Przepraszam, czy przypadkiem nie pani Zielińska?

— Owszem, Zielińska. Pan mnie zna? Zaraz, zaraz, niech pan nie mówi, bo muszę sobie sama przypomnieć! Ach, już wiem: puhar! Do śmierci nie zapomnę! Tak, to przez pana obabrali mnie w gazecie! Mater Dei! W kurjerze było prawie pół kartki! Nie mogłam się potem ludziom na oczy pokazać! Umieję do dziś dnia na pamięć: „Skutki gadulstwa kumoszek i tragiczne losy srebrnego puhara”... I „pocziwa starowinka, niejaka Zielińska”! Ta „starowinka”, ta „niejaka Zielińska” to niby ja! A wszystko przez pana! I jeszcze się pan śmieje!

— Przepraszam panią, ale ja... — sumitował się Antek. — Jak Boga kocham, że... A pani tu teraz mieszka?

Pokazało się, że Zielińska mieszka z panią Cierniakową od pół roku zgórą, i że im jest razem bardzo dobrze. Lepiej być nie może. Jedna drugiej ustępuje we wszystkim, i zgadzają się na każdym kroku. Bo też Anusia to nie człowiek ale anioł, poprostu anioł. A że teraz ludzie sobie nawzajem pomagają muszą, więc zamieszkały razem.

— Ach, Anusia to... Przepraszam, z czego pan się śmieje?

— Ja? Nie śmieję się wcale! — rzekł Antek, przygryzając wargi, bo mu stanęła przed oczyma scena z przed lat i przysięga ciotki, że do końca życia nie zapomni słów pani Zielińskiej, zwłaszcza tego, że ona, pani Cierniakowa, „jeździ do Częstochowy, a tymczasem...”

— A czy ciotka wyszła? Kiedy wróci?

— Nie wyszła, tylko leży. Chora. Porządnie chora, bo jej wąt- roba nawaliła. Wczoraj wieczorem był profesor, wie pan, ten, co to siedział w Oranienburgu. Święty człowiek! Za darmo leczy i chodzi po najbiedniejszych domach. Spytałam, ile mu się należy za wizytę, ale obraził się śmiertelnie. Kazał Anusi leżeć i okłady robić. W nocy nie mogła zasnąć i czytała do rana a teraz śpi.

— Czytała? Ciotka czytała? — spytał Antek w najwyższym zdumieniu. — A z czegoż ta wątroba jej nawaliła?

— Z powodu pomnika. Była wczoraj rano w mieście, na rynku, i jak ujrzała te przygotowania, to zaraz... Bo mają stracić Mickiewicza, słyszał pan?

— Nietylko słyszałem ale widziałem. Godzinę temu.

— Widział pan? Na własne oczy? Jabym nie mogła patrzeć! A żeby ich choroba ciężka, żeby ziemia się pod nimi zapadła, żeby... Wzięłabym siekiere albo nóż ...

Pocziwa starowinka, Zielińska, zaczęła kłać jak stary dragon. Tempo jej słów było wartkie i niewstrzymane, Antek zaś słyszał w tym potoku przekleństw jakby ostrzenie noża o kamień. Zerwała z głowy szal, nie dbając o fluksję, i pomstowała, kłęła, na czym świat stoi.

— Mickiewicza stracili! Jezus Marja! Mickiewicza! — rozplakała się nagle. — Wadził im pomnik! A ty, Róziu, nie bój się! — rzekła, zwracając się do małej dziewczynki, która stała w kuchence, ukryta między szafą a drzwiami. — Ten pan nie zrobi ci nic złego. To Polak! Siostrzeniec cioci Anusi...

Antek teraz dopiero zauważył to dziecko. Było trochę zbiedzone ale ładne, nawet bardzo ładne. Z pod rudyh rzęs patrzyły na Antka oczy pełne lęku. Wcisnięta między framugę drzwi i szafę, chciała zrobić się jeszcze mniejszą niż była.

— To Rózia Salzmännówna. Jej rodziców dawno już wywieźli i teraz chowa się u nas. Wzięłyśmy ją z Anusią, bo to sierotka. Oni mieli sklep bławatny, „Jonasz Salzmänn“, na Lwowskiej, nawet spory sklep. No, i skończyło się wszystko. Nie bój się, Róziu, jak ci mówię. Ten pan to Polak, naprawdę nie zrobi ci nic złego. No, chodź do mnie! Biedactwo! Odkąd jest u nas, a to już będzie chyba ze dwa miesiące, nie wyszła poza próg. Boi się i za żadne skarby świata...

Pani Zielińska opowiadałaby dłużej o losach Rózi Salzmännówny, ale z pokoju odezwał się głos ciotki Antka. Nie śpi, nie śpi od dobrej chwili, więc niech Antek wejdzie do pokoju. Wątroba to głupstwo, a nawet przestała już boleć. Zresztą mniejsza o wątrobę.

— Szczęśliwa twoja matka, że się przeniosła na tamten świat, że tego wszystkiego już nie widzi! Cierpiała bardzo, mów, Antosiu, mów!

Pocałował ciotkę w rękę i, ku zdumieniu najwyższemu, zobaczył książkę, leżącą na kółdrze. „Pan Tadeusz“! Naprawdę, „Pan Tadeusz“! Ciotka czyta Mickiewicza! Doprawdy, świat się kończy!

— Więc tak szybko się zawięła? Serce!... Wszystkiego jeden dzień. Szczęśliwa! Róziu, chodź do mnie i siądź na łóżku, nie bój się! A ty, Antosiu, mów!

Pani Cierniakowa leżała na łóżku, głaszcząc małą Rózię Salzmännównę, ze ściany zaś patrzyły wszystkie możliwe Matki Boskie i

wszyscy możliwi święci ze świętym Józefem na czele. Było tych obrazów mnóstwo i ciągnęły się podwójnym rzędem, świecąc złocistością ram i aureol czy kółek, unoszących się nad głowami, Antek zaś, wpatrzony ciągle w tytuł książki, opowiadał o ostatnich chwilach matki. Popłakała się pani Cierniakowa i popłakała się pani Zielińska, poczem z kolei Antek dowiedział się o tem, że właściwie nie kto inny, ale sam Pan Bóg zesłał ciotce panią Zielińską, bez której życie byłoby prawie niemożliwe. Teraz klepią razem biedę. Pralnia właściwie stanęła i jest coraz ciężej, coraz trudniej o kawałek chleba, jednakże coś się tam przecież znajdzie dla Antka, który napewno musi być głodny, w związku z czem pani Zielińska wybiegła do kuchni, zostawiwszy drzwi otwarte, aby przypadkiem nie uronić jakichś szczegółów rozmowy, której temat zmienił się raptownie.

— Antek! — rzekła ciotka, podnosząc się naprzekór bólowi ze wzgórze a raczej z góry poduszek. — Nie mów nic! Wiem wszystko! Wiem, dokąd się wybierasz! Mądrze i dobrze robisz! Czeka cię droga wielka, ale Pan Bóg i Matka Boska niech cię prowadzą. Dobrze robisz! Chciałabym, żebyś został lotnikiem! Koniecznie! I żebyś kiedyś zrzucił bombę na ten dom! Tu, w tym domu, w którym mieszkam, stoją Niemcy na kwaterze. Z żonami! Zajęli wszystkie mieszkania frontowe. Niech bomba spadnie na ten dom, ale wtedy, gdy oni będą! Niech mnie i ich...

Do życzeń ciotki dodała pani Zielińska swoje własne, stojąc w otwartych drzwiach, z jakimś tasakiem w ręce. Więc niech ta bomba spadnie wtedy, gdy nietylko owi Niemcy z żonami będą w domu, ale gdy będą także ich dzieci. Wszystkie bachory szwabskie, które śpiewają swe pieśni. Szlak może trafić człowieka, jak one zaczną śpiewać. Niech spadnie bomba nie jedna ale dziesięć, sto, tysięcy!

— Amen! — dodała pani Cierniakowa. — Amen! Ale ty, Antosiu, kipsisz i oczy ci się kleją. Zaraz dostaniesz coś zjeść a potem wyciągniesz się na sofce. Kiedy idziesz?

— Chcę dzisiaj wieczorem... Do Nowego Targu koleją a potem...

— Pieniądze masz? Coś tam znajdę jeszcze...

— Ja także. — dodała pani Zielińska.

— Dziękuję. — odmówił Antek. — Mam trochę, bo sprzedałem...

— Co sprzedałeś? Puhar?

— Nie, puharu nie sprzedałem, mam go ze sobą. — rzekł, machinalnie macając plecak.

W chwilę później, umyty i najedzony, usypiał na sofce w kuchni, słysząc jeszcze dolatujące go fragmenty finansowych debat pani Cierniakowej i pani Zielińskiej. Była mowa także o spinkach złotych po mężu, a łańcuszku również złotym; o broszce, o odrobinie gotówki, więc m. in. o jakimś ostatnim dolarze — sierocie. Lecz Antek zaczął już chrapać. I już mu się śnił bieg okrężny, bieg na przełaj, przez cały świat.

GARŚĆ ZIEMI

Zdołali się wepchać do wagonu równocześnie, i stojąc w przedziale, patrzyli na siebie, już od samego Podgórze. Nagle, jakby na komendę, wykonali obaj ten sam gest. Może nawet nie był to gest, dlatego że nie dałoby się go zrobić w ścisłości, oraz dlatego że i jeden i drugi pomyśleli sobie w tej samej sekundzie, iż lepiej wstrzymać się nie tylko od słów ale nawet od najmniejszego gestu. Czyli, że wykonali tylko jakby zamach do gestu, niemniej zrozumiał jeden drugiego nawzajem. Trzeba milczeć. Zresztą rozmowa okazała się czemś zbyt cennym, ponieważ oczy powiedziały już wszystko, co było potrzebne.

— Nazywasz się Tkacz. Byłeś kapralem dwudziestego drugiego pułku piechoty z Siedlec. Pamiętam, przyszedłeś do mety jako trzeci, za mną i za Kozakiem. Pocałowałeś mnie, gratulując. Dawno temu. A dzisiaj wydaje mi się, że wystartujemy znowu razem. Chyba się nie mylę. — myślał Antek.

— Jesteś Antoni Zwoliński. Przyszedłeś pierwszy. — mówiły oczy wysokiego, barczystego człowieka, który starał się zrobić jak najmniejszy w ścisłości wagonu, usiłując nie dotykać ani ścian ani ludzi, stojących na korytarzu. — Wydaje mi się, że ty idziesz tam, dokąd chcę iść ja. Bardzo, bardzo chciałbym, abyśmy poszli razem!

— Tak, pójdziemy razem! — odrzekły oczy Antka. — Jesteś starszy odemnie i napewno silniejszy ale wyglądasz jak człowiek chory albo jak ktoś, kto cierpi w tej chwili wielki ból. Trzymasz się resztką sił.

Powieki Tkacza opadły i twarz jego stała się teraz jeszcze bardziej blada i bardziej ściągnięta bólem. Zaciśnięte szczęki zdawały się powstrzymywać jęk. Ludzie tłoczyli się, wysiadali i wsiadali na każdej z mijanych stacyj, i jeżeli któryś z nich otarł się o plecy Tkacza jego twarz nabrzmiewała bólem. Od Kalwarji zrobiło się trochę luźniej, w Skawcach zaś wysiadło tylu pasażerów, że nawet znalazły się dwa miejsca siedzące. Antek zajął szybko jedno z nich, drugie zaś wskazał Tkaczowi, który jednak nie skorzystał z propozycji. Stał w dalszym ciągu na korytarzu, gdy zaś w Suchej opróżnił się cały przedział, on wszedł naprawdę do środka, jednak i wtedy nie chciał usiąść.

— Dlaczego pan stoi? — spytał Antek.

— Nie mogę, ale to głupstwo. — odrzekł Tkacz i rozglądając się na wszystkie strony, spytał szeptem, gdzie Antek wysiada. — W nowym Targu? Ja w Makowie, bo tam wszystko przygotowane. Kozak wyjechał z Krakowa wczoraj i ma czekać na mnie. Potem przez Babią Górę. A pan?

— Ja? Pójdę z panem razem, jeśli pan mnie weźmie.

— Dobrze. Kusociński został rozstrzelany w Warszawie. Za robotę. Wie pan?

— Wiem.

Umilkli, bo ktoś wszedł do przedziału. Tkacz stanął pod oknem i wytrwał w pozycji nieruchomej aż do Makowa, gdzie obaj wysiedli, lecz obaj zrobili to osobno, niezależnie, i nie znając się jakby. Tkacz szedł pierwszy. Antek zaś pociągnął za nim, starając się utrzymać dystans. Niedaleko kościoła zagroził im drogę pogrzeb. Trumnę nieśli górale a przed nią i przed księdzem szły wieńce z gałązek smreku i kosodrzewiny. Dwóch policjantów patrzyło na ten pochód okiem chmurnym ale idący z trumną nie zwracali na nich uwagi. Tkacz i Antek, zdjawszy kapelusze, przystanęli, czekając aż pogrzeb minie ich. Tuż za trumną szła stara kobieta o twarzy dziwnie spokojnej a zarazem uśmiechnięta, uśmiechem jakby mściwym i zawziętym.

Tkacz włożył kapelusz i pociągnął przez miejscinę, u której skraju skierował się miedziami ku kilku domom, stojącym nad brzegiem rzeki. Było pusto, zupełnie pusto, jak wymiotti. Podeszedł do jednej z tych samotnych chałup, zapukał raz i drugi, okrążył całą zagrodę, zajrzał do stajni, do obory, i wrócił pod drzwi, pukając raz jeszcze. Ruchem bezradnym otworzył szeroko ręce, chciał usiąść na progu, ale wyprostował się i w pozycji stojącej czekał. Antek patrzył z daleka, przysiadłszy nad brzegiem.

Czekali długo, bo z godzinę chyba. Wreszcie na miedzy, daleko, ukazała się kobieta jakaś. Ta sama, co szła za trumną. Minęła Antka, spojrzawszy szybko, poczem wróciła ku niemu, popatrzyła raz jeszcze i kazała iść za sobą. Tym samym wzrokiem zlustrowała Tkacza i rzekła zaraz, że wie, co oni za jedni.

— Z pogrzebu wracam, to wam czekać dałam. Idźcie stąd, bo nie tu po was obu. Na prawo, jak potok się kończy, pół mili stąd, skróćcie w górę, ku polanie. Koło spalonej chałupy zaczyna się mój owies. Potem jest źródło. Wyschnięte. Za dwie godziny tam będę.

Odeszli. Deszcz zaczął siąpić i mgła czepiała się stoków, oni zaś obaj, ciągle trzymając dystans, szli do tej spalonej chałupy, do tego owsa i do tego wyschniętego źródła. Gdy się tam zrównali, Antek usiadł na kamieniu, Tkacz zaś nawet nie oparł się o drzewo, i czekał, stojąc.

— Dlaczego nie siadasz?

— Mówiłem ci, że nie mogę. E, głupstwo! Dobrze, że ta baba przyszła, choć miałem w tej chałupie spotkać się z kimś innym.

— Z Kozakiem?

— Właśnie. I z jakimś młodym góralem, który miał poprowadzić. Wiem, że mu na imię Florek. Tam, w dole, jest wieś Skawica, która łączy się z Zawoją. Obie wsi ciągną się przez kilka mil, ale przecie środkiem drogi iść nie można. Trzeba na przełaj, górami. Ciekaw jestem, czy Kozak już jest w drodze, blisko granicy, czy też czeka

gdzieś na nas. Chyba ta stara baba powie nam coś o nim.

Przyszło im czekać długo ale wreszcie baba, już dobrze o zmroku, stanęła nagle przed nimi, jakby wyrosła z ziemi. Słowa jednego nie mówiąc, kazała im iść za sobą, przez gęsty las, potem, już w ciemności, przez stok goły, i znowu lasem, zniżając się ku wsi jakiejś, której pierwsze chałupy połyskiwały słabem światłem.

— A czyj to pogrzeb był dzisiaj w Makowie?

— Czyżby zaś? Florka. A ten młody, taki wysoki, co przyjechał z Krakowa, poszedł wczoraj na noc z moim młodszym wnukiem, z Błażkiem. Poganiał go Błażek, bo pełnia w drodze.

Mgły opadły i księżyc wyszedł na niebo, a baba rozgadała się nagle. Florka postrzelili już na przełęczy. Odprowadził tamtych do granicy, sam zaś dowłókł się do domu i trzy dni temu zmarło mu się z tych ran. Więc zamiast niego poszedł Błażek. I teraz już Błażek będzie chodził. Może jeszcze nie ruszył dalej z tym młodym panem i czeka na groniu, w chałupie u synowej.

Nie, w tej chałupie samotnej na groniu już nie było ani Błażka ani Kozaka, za to była tam synowa owej starej baby, która kazała czekać na powrót Błażka. Może odprowadzi pana z Krakowa tylko do pierwszych chałup Zawoji, a stamtąd znowuż kto inny, pewnie ten głupi Pietrek, co siedzi sam w szałasie na Suchej Górze, pójdzie z nim dalej.

— No, zobaczymy. A teraz śpijcie! — rzekła, wskazując sienniki. — Nie kładzie się pan? — spytała Tkacza.

Obie kobiety, stara baba i jej synowa, bardziej były domyślne niż Antek. Kazały Tkaczowi rozebrać się, gdy zaś nie usłuchał, same ściągnęły zeń marynarkę i spodnie, dobierając się następnie do bielizny. Czyniły to umiejętnie i delikatnie, zwałaszcz, gdy na przyśniętej do ciała koszuli ukazały się plamy krwi. Odrywanie bielizny od ran trwało długo i połączone było z bólem ogromnym. Pomagał teraz i Antek, ściągając z Tkacza resztę bielizny. Ciało było sine, obłożone grubymi pręgami, gdziegdzie skóra, przecięta batem czy szpicrutą, krwawiła jeszcze świeżą krwią. Tkacz stał nagi na środku izby, zawstydzony, chwając się na nogach.

— Niech się pan kładzie zaraz. — rzekła energiczna synowa. — I tak pan dzisiaj nie pójdzie dalej. Z takimi ranami? Trzeba leżeć z dobrą całą! Kwaśne mleko wyciągnie to wszystko.

— Żętyca przydałaby się. — szepnęła fachowo stara baba. — Aż dziwi, że się pan trzyma na nogach!

Nie, Władysław Tkacz, kapral 22 pułku piechoty, szybkobiegacz, rekordzista w rzucie dyskiem i szampjon boksu w wadze półciężkiej, nie trzymał się w tej chwili na nogach. Przeciwnie, wyczerpany drogą i bólem, runął na siennik i półprzytomnie a cierpliwie poddał się zabiegom, polegającym na okładach z kwaśnego mleka. Potężne jego i muskularne ciało wstrząsały dreszcze, potem przyszła gorączka i to wcale wysoka, bo Tkacz zaczął bredzić, zrywać się z legowiska i

krzyżeć, opowiadając w urywanych słowach wszystko, co go spotkało a co obecni i tak zgadnąć łatwo mogli.

— A to go hycle obrychtowały! Żeby ich choroba! — klęła stara baba, podczas gdy synowa poszła, by przynieść znowu mleka.

— To matka Błażka i... Florka? — spytał Antek.

— Nie. Ona wyszła za mego starszego, za Wojtka. Przepadł gdzieś we wrześniu, z samego początku wojny, a dzieci zmarnowały się. Ona jest sama. A ten — rzuciła wzrokiem na Tkacza — nie pójdzie rychło. Trzeba mu wydobrzeć ze dwa, ze trzy dni. Pójdziecie sami?

— Nie, poczekam.

Przyszło czekać dłużej niż trzy dni, tymczasem zaś Błażek przyniósł wiadomość, że Kozak przycupnął w szałasie u głupiego Pietrka, i że nie ruszy się, dopóki Tkacz leży. Wreszcie, po pięciu dniach chory wstał, włożył wypraną z krwi koszulę, przydział się i oświadczył, że jest już silny i zdrow, ruszyli więc z Błażkiem do owego szałasu na Suchej Górze, gdzie jednak Kozaka już nie było. Pietrek, co go „głupim“ wołali, a który wcale taki głupi nie był, powiedział, że młody pan wyszedł z pewnym juhasem dnia poprzedniego, korzystając z nocy chmurnej i z deszczu. Antek i Tkacz chcieli rwać zaraz w górę, a popierał ich zamiary Błażek, ale głupi Pietrek iść nie pozwolił. Przy księżycu nie puścił ich w drogę. Czekać trza, aż się znowu zanieśie. Zresztą dogonią tego pana w drodze, bo napewno przyjdzie mu zostać dzień, ze dwa, koło Grubej Jedli, u Szymona Zapała.

— Teraz mnie Kozak weźmie! — pomyślał sobie Antek. — W tym biegu nie dam mu rady...

Gdy następnej nocy dotarli do owej „Grubej Jedli“, stary baba, Zapała, powiedział im, że niedalej niż godzinę temu młody pan z Krakowa, nie mogąc już doczekać się, ruszył z juhasem ku granicy. Antkowi pociemniało w oczach, przypomniał mu się bieg z przed lat, przypomniała się chwila, gdy na koszulce Kozaka dojrzał smugi potu i gdy, gnając z rozpaczą w sercu, myślał sobie, że tego Kozaka nigdy nie dogoni. Tak samo i teraz, a przecie rozchodzi się o bieg inny, o zupełnie inny!

— Możesz iść? — spytał Tkacza. — Lepiej żebyśmy razem z Kozakiem...

Tkacz bez słowa ruszył naprzód i szli coraz, coraz prędzej, przez las, rzędnący zwolna, potem przez gęstwą kosówki, przez głązy skalne, potykając się w mroku o korzenie, o nierówności gruntu. Chwyliła ich obu zaciętość, kazała im rwać w górę, prędzej i prędzej. Do granicy jeszcze z pół godziny, nie dłużej. Deszcz padał gruby i w ciemności ledwie migał im przed oczyma idący przodem Błażek. On znał tu każdy kamień, oni szli po raz pierwszy, ale obaj dali się ponieść jakiemuś pędowi, jakiejś gorączce wyścigu. Przewrócił się Antek raz i drugi, Tkacz zranił sobie policzek o suchą gałąź kosówki, ciała ich obu oblepił pot gęsty, jednak nie ustali ani na

chwilę. Była im wspólna ta myśl, żeby przecież dopędzić Kozaka, zrównać się z nim conajmniej albo nawet wyprzedzić go. Zapomnieli obaj o tem, dokąd tak biegną, zatarli się przed nimi właściwy cel biegu. Byli jakby przed samym finiszem, byli niedaleko od mety, do której zbliżał się ten trzeci. Kozak, Kozak! On przyjdzie pierwszy!

W pewnej chwili obaj równocześnie ulegli złudzeniu, że już, już, dobiegają, że niemal ręką dosięgnąć mogą Kozaka, że słyszą jego oddech nierówny, zdyszany, a to im samym grały płuca i krtań. Do skroni dobiła się krew nierównym pulsem, tłukło się serce a w piersiach raz po raz odzywał się ostry ból, jednak wyrwali coraz prędzej i prędzej, nie widząc ale zgadując Kozaka w ciemności.

— Wytchnijcie zaś! — odezwał się przezornie Błażek. — A dy nie pali się! Nikt nas nie goni!

Nie usłuchali. Chwycił ich pęd jeszcze silniejszy, zaciął jak batem i pchnął naprzód ku górze. Przewracał się jeden i drugi coraz częściej, szli niemal na czworakach, czepiając się gałęzi i kamieni. Byli nieprzytomni, byli jak przed samą taśmą mety, gdy to zawodnik zapomina o formie, o oddechu, o tem, że paść może trupem z wysiłku. Było im wszystko jedno. Kozak! Kozak! On przyjdzie pierwszy.

— Cicho! — szepnął Błażek i zatrzymał ich przemocą.

Nasłuchiwał przez chwilę, nie pozwalając im ruszyć się naprzód. Nie słyszeli nic, on jednak w szumie deszczu i wiatru rozróżniał jakiś głos inny. Stał nieruchomo, poczem przyłożył do ust palce i zagwizdał. Nie odpowiedział nikt, ale Błażek stał ciągle w tem samym miejscu, nasłuchując. Zagwizdał po raz drugi, cicho a tak przejmująco, że ich obu przeszedł dreszcz nagły.

— Oni! — szepnął chłopiec, gdy przyszła zdaleka odpowiedź. — Oni!

Widniało już, gdy zrównali się z Kozakiem i z jego towarzyszem. Deszcz ustał i mgła zwolna osiadała na przełęczy. Wstawał dzień.

— A nie mówiłem panu przed rokiem, że się jeszcze spotkamy? — rzekł Kozak.

— Prawda! Ale co to panu? Pan kuleje?

— Głupstwo! To dawna historja. Pod Kockiem, piątego października... Ostatnia bitwa... A teraz czekają nas nowe.

— Tak, nowe! — rzekł Tkacz.

Lecz musieli przerwać rozmowę, bo obaj przewodnicy, juhas i Błażek, już zaczęli się żegnać. Granica o sto kroków i nawet widać słupek. Potem już ciągle z góry na dół, i trzymać się potoku. Pierwsza wieś po słowackiej stronie nazywa się Głodówka Wielka. Tam, w Błażek, już zaczęli się żegnać. Granica o sto kroków i nawet widać szkołę, trzeba się dowiedzieć o dalszą drogę.

— Z Bogiem!

— Zaraz, zaraz! Tylko nie tak prędko! — krzyknął Kozak, zatrzymując ich obu. — Przecie musimy się policzyć!

— Co?!

Juhas i Błażek tywnęli oczyma jak wilki. Za pieniądze tego nie robią. Papierosa zapaliłby jeden i drugi, ale wiadomo, że o tabak trudno teraz. Pieniądze? Przecie oni obaj czekają tylko do jesieni i pójdą tą samą drogą w świat, ani się nie obejrzą za siebie.

— Ino owies zebrać, i wio! — rzekł Błażek.

— Z Bogiem!

Podali sobie mocno ręce i rozeszli się w przeciwne strony. Tamci dwaj w dół, ci trzej ku granicy, pod górę. Porwali się jak na komendę, jakby padł strzał do startu, i biegiem przelecieli połowę drogi. Nagle zwolnili pędu. Osłabli wszyscy trzej równocześnie, w nogach poczuli zmęczenie, w głowie zawrót a w ustach gorzki smak gorączki. Szli coraz wolniej, oglądając się wstecz. Obu górali dawno już nie było widać, za to odsłonił się w blasku słońca stok Babiej Góry i innych, pomniejszych szczytów. Lasy były granatowe, sine gdzieniegdzie od mgły, hale grały bladą zielenią, czerniła się kosówka.

Przystanęli razem i razem westchnęli. Od słupka dzieliło ich kilka kroków zaledwie, ale te kroki były czemś nie do przebycia. Nagle Antek zdjął plecak i wydobył zeń puhar. Ukląkł i w białą chustkę z matczynym monogramem nabrał ziemi. Włożył ją do puhara.

Kozak płakał. Tkacz poszedł za Antka przykładem, ukląkł, położył się całym ciałem na ziemi i przyłożył do niej usta.

Dolar poszedł już w Koszycach, spinki po ś.p. Józefie Cierniaku podzieliły tę samą dolę w Budapeszcie, broszkę pani Zielińskiej opylił Antek w Sofji, złoty zaś łańcuszek dopiero w Beirucie.

A puhar? Srebrny puhar Krakowa? Przeszedł wiele krajów, przepłynął przez morze, ponieważ zaś mało mu było dwóch części świata, więc z kolei, po Europie i po Azji, musiał zawadzić także o Afrykę. Wylądował na pustyni, wylądował cały i z pełną zawartością.

Dopiero w samą wilgę, a było to pod Gazalą, sięgnął Antek do wnętrza puhara, by wszystką ziemię hojnie wysypać na grób, w którym złożono Władysława Tkacza. Nie szczędził mu jej, wysypał całą, do ostatniej grudki.

Tedy puhar został pusty. Lecz nie na długo. W tydzień później wypełniło go wino, zdobywcze, włoskie wino „Lacrima Christi“. Było go dużo, więc puhar przechodził w krąg, z ręki do ręki. Pito nim zdrowie kaprała Antoniego Zwolińskiego, który właśnie w dzień Nowego Roku dostał Krzyż Walecznych.

Koniec.

Londyn, kwiecień, 1944 r

WYJAŚNIENIE TRUDNIEJSZYCH WYRAŻEŃ,
NAZWISK I NAZW W TEKŚCIE.

Data przysięgi Kościuszki i poświęcenia szabli 1794 r. - -

You see, the boy is sleeping — Widzi pan, że chłopiec śpi.

I think, he does not lie — Myślę, że on nie kłamie.

Y.M.C.A. — Young Men Christian Association — Stowarzyszenie Młodzieży Chrześcijańskiej męskiej, powstałe w Ameryce, ale rozwijające swą pożyteczną działalność w całym świecie. Również i w kilku miastach polskich znajdowały się filje tego stowarzyszenia, jako t. zw. kluby.

Pasamonicy — rzemieślnicy, trudniący się wyrobem ozdób do ubrania, jak pasów, pasków, frendzli i t. d. Inaczej "szmuklerze." Cech pasamoników istniał w Krakowie już od 1365 r. i miał przeznaczoną jedną basztę do obrony w razie oblężenia miasta.

Wit Stwos (lata: około 1447 — 1533, znakomity rzeźbiarz, żyjący na przełomie średniowiecza i odrodzenia. W latach 1477 — 1489 przebywał w Krakowie i tu stworzył najwspanialsze swe dzieło — wielki ołtarz w kościele Marjackim. Do dziś dnia trwa między Polską a Niemcami spór na temat narodowości Wita Stwosza.

Matejko Jan (1838 — 1893), uważany za największego malarza polskiego. Oddawał się prawie wyłącznie malarstwu historycznemu i jako profesor stworzył własny kierunek. Obrazy jego, jak Hołd Pruski, Kazanie Skargi, Rejtan i t. d., przedstawiają najważniejsze chwile z naszych dziejów. Wielki miłośnik naszej przeszłości, zgromadził bogate zbiory, przechowywane w krakowskim „Domu Matejki”. W czasach niewoli nieśmiertelną jego zasługą było, że w niezliczonych a olbrzymich swych płótnach wskrzeszał naszą dawną świetność i potęgę. Twórczości Matejki poświęcił wyczerpujące studjum znany malarz i krytyk, Stanisław Witkiewicz.

Chełmoński Józef (lata: 1850 — 1914), znakomity, również zagranicą, mianowicie w Niemczech i Francji, wysoko ceniony malarz. Tworzył pełne życia sceny rodzajowe i krajobrazy. Celował także jako malarz koni. Znajdująca się w krakowskim Muzeum Narodowym „Czwórka” odniosła na światowych wystawach niezwykle triumfy.

Modrzejewska Helena (lata: 1848 — 1908), największa polska aktorka. Z niezwykłym powodzeniem grała także na scenach amerykańskich.

Stanisławski Jan (lata: 1860 — 1907), malarz — pejzażysta, który w drobnych obrazkach oddawał czar ziemi polskiej. Odegrał również wybitną rolę jako profesor krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych przez to, że uczniów swych wyprowadził z murów pracowni i kazał im studjować naturę żywą.

Siemiradzki Henryk (lata: 1843 — 1902), cieszył się wielkim powodzeniem jako malarz pięknych scen z życia starożytnych

Rzymian i Greków. Należał do twórców i założycieli Muzeum Narodowego.

Malczewski Jacek (lata: 1855 — 1932) przedstawiał w malarstwie kierunek symboliczny. Liczne obrazy jego obok ściśle malarskich wartości zawierają pewną treść literacką, czasem dosyć zawiłą i trudną do odgadnięcia.

Weloński Pius (lata: 1849 — 1931), jeden z bardziej znanych rzeźbiarzy polskich. M. in. ozdobił Jasną Górę długim szeregiem wielkich kompozycji, przedstawiających 14 stacyj Męki Pańskiej.

Ave Caesar Imperator, morituri te salutant. — Idący na śmierć pozdrawiają cię, Cezarze! — okrzyk, jaki gladiatorzy, wstępujący na arenę, wynosili przed lożą cesarską w rzymskim Koloseum.

Leonardo da Vinci (1452 — 1519), jedna z najwybitniejszych postaci Odrodzenia. Malarz, architekt, rzeźbiarz, muzyk, inżynier, uczony i poeta w jednej osobie. Wyjątkowy objaw wszechstronnego genjuszu. Jednym z jego najsłynniejszych obrazów jest portret Mony Lizy czyli „Gioconda”, przechowywana w paryskim muzeum „Louvre”.

Kopiec Kościuszki — znajduje się na Wzgórzu św. Bronisławy, skąd roztacza się piękny widok na Kraków i na Wisłę. W dni pogodne widać nawet łańcuch Karpat z Babią Górą oraz ośnieżone Tatry. Kopiec ten usypał Kościuszcę w r. 1820 — 1823 wdzięczny naród, pragnąc Naczelnika uczcić tak, jak czone są legendarne postacie Krakusa i Wandy, którym, jak mówi tradycja, usypano mogiły, do dziś dnia znane pod nazwą Kopców Krakusa i Wandy.

Rembrandt (1606 — 1669), jeden z najsławniejszych malarzy holenderskich, twórca techniki t. zw. „światłocienia”, polegającej na wydobyciu efektu, jaki daje światło, które pada na pewne części danego przedmiotu, inne zostawiając w głębokim cieniu.

Van Dyck (1599 — 1641), obok Rubensa największy malarz szkoły flamandzkiej. Wspaniały jego talent wypowiedział się zwłaszcza w niezliczonym mnóstwie portretów.

Murillo (1617 — 1682), wielki malarz hiszpański, twórca wielu obrazów głównie religijnej treści, z których najsłynniejsze jest „Wniebowstąpienie Matki Boskiej”.

Muzeum fizjograficzne. Fizjografia jest to nauka zajmująca się opisem ziemi i jej zjawisk.

Archiwa — zbiory dawnych dokumentów, rękopisów, kontraktów i t. d.

Wianki — obchód ten znany w całej Polsce, szczególnie jednak popularny w Krakowie, gdzie według legendy wiąże się z śmiercią Wandy, jest jednym z najdawniejszych i najpiękniejszych zwyczajów słowiańskich. Polegał on na tem, że wieczorem, w wigilję dnia św. Jana Chrzciela (24 czerwca), dziewczęta rzucały na fale rzek i strumieni wianki, chłopcy zaś, na łódkach lub z brzegu, starali się je pochwytać.

Lajkonik — zabawa ludowa w oktawę Bożego Ciała, polegająca na tem, że orszak „Tatarów“ wkracza na ulice miasta, mając na czele wodza, który z gumową pałką w ręku harcuje na drewnianym koniku. Według dawnej tradycji obrzęd ten rzekomo uprzytamniać ma odniesione przez włóczków (flisaków) krakowskich zwycięstwo nad Tatarami. W zabawie tej rolę Lajkonika odgrywają od niepamiętnych czasów członkowie rodziny Męcińskich, których przodek miał właśnie pokonać Tatarów.

Pierwszy napad Tatarów odbył się w roku 1241 za Henryka II Pobożnego, który zginął w bitwie pod Lignicą po bohater-skiej walce. W dwa lata po jego śmierci Księstwo Krakowskie objął w r. 1243 Bolesław V, zwany Wstydliwym. Za jego panowania odbył się drugi napad Tatarów w r. 1259.

Rękawka — zabawa ludowa, odbywająca się w trzecie święto Wielkiej Nocy na stokach Krzemionek. Nazwa tej zabawy pochodzić ma rzekomo stąd, że lud krakowski sypał mogiłę ukochanemu księciu Krakowi, znosząc ziemię w rękawach.

Barwna i doskonale napisana sztuka Anczyca (pseudonim Lasota), **Kościuszkę pod Racławicami**, odgrywała szczególnie ważną rolę w czasach niewoli, gdy to Polacy z pod zaboru rosyjskiego tłumnie zjeżdżali do Krakowa, który oddychał pełnią swobody życia narodowego. Widowisko to cieszyło się niebываłym powodzeniem.

Samuel Zborowski, warchoł i banita, wrócił mimo wygnania do Polski, ufny w swą potęgę rodową i w protekcję królewską. Pojmany pod Krakowem, został z wyroku kanclerza Zamoyskiego ścięty w roku 1583.

Kurza Stopka — jedna z baszt wawelskich, zamieszkiwana niegdyś przez królowę Jadwigę.

Gobeliny jest to rodzaj ozdobnej tkaniny, wyrabianej ręcznie na kanwie zapomocą wełny, jedwabiu i złota.

Arrasy — tkaniny artystyczne, w których obraz wetkany jest w osnowę. Nazwę swą zawdzięczają francuskiemu miastu Arras.

Kurdyban — skóra wytłaczana i następnie barwiona i złocona. Nazwa pochodzi od hiszpańskiego miasta Kordowy, które słynęło z wyrobu tej skóry.

Fryzy — malowidła ścienne, umieszczone wzdłuż ścian pod samym sufitem.

Rex Auguste, iudica iuste — Królu Auguście, sądz sprawiedliwie!

Monstrator leonum in arce — dosłownie: ten, który na zamku pokazuje lwy.



Lajkonik — zabawa ludowa w okolicy Sieroga Ciela, polegająca na tym, że dmuchając „Tatarów” w kształcie szczytu młota, ma się wywołać woda, która z gromada pada w rękę dziecka na drzewianym trzonku. Według dawniej tradycji obrzęd ten miałby upamiętniać nie odwołanie przez chrześcijan (Mszczuła) krakowskich w niewolę pod Tatarów. W związku z tą tradycją odgrywa rolę nieopisanego czarna, chociażby rodziny Mszczuła, których przodek miał właśnie pokonać Tatarów.

Pierwszy bunt Tatarów odbył się w roku 1711 za Henryka, króla Polnaka, który zginął w bitwie pod Lignem na schyłku wojny. W dwa lata po jego śmierci Krzysztof Krasiński książę w 1713-Belostok, Karłowicz, Włocławek. Do jego panowania odbył się drugi bunt Tatarów w 1738.

Rokowice — zabawa ludowa, odwołująca się do tradycji wigilijnej. Wzięła się z czasów Krasińskich. Nawiązuje do zabawy porównanej na rękono ścież, w której krakowski tytuł magistra obywatelskiego Krasiński, znowu pojawił w rokach.

Baran i dookólna napisana opłakiwanie (szlachetna). Łasota, Kosiński pod Kosińskiem, odrywała się węgierską wojnę w 1704 w czasie powstania, gdy to Polacy z powstaniem węgierskiego dumnie walczyli do Kosińska, który odwołał się do swobody życia narodowego. Wówczas to zaczęło się kierowanie powstania.

Kasztel Złotowski, wzięty i bunt, wrócił do niego wygnanie do Polski, który w 1704 poległ ręką w wroczym kosińskiem. Przynajmniej pod Kosińskiem, został z wyroku kasztelana Złotowskiego ścięty w roku 1704.

Kawa Słodka — jedna z wielu zabaw ludowych, zmięszana się wzięty przez królową Jędrzejkę.

Gonimcy jest to jedna z zabaw ludowych, wyrażająca nadzieję na zwycięstwo nad wrogiem, który jest ciemny i cięty.

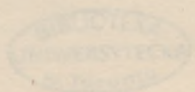
Grzyby — jedna z zabaw ludowych, w której dzieci wzięły się do gry. Wzięły one nadzieję, że zwyciężą nad ciemnymi siłami.

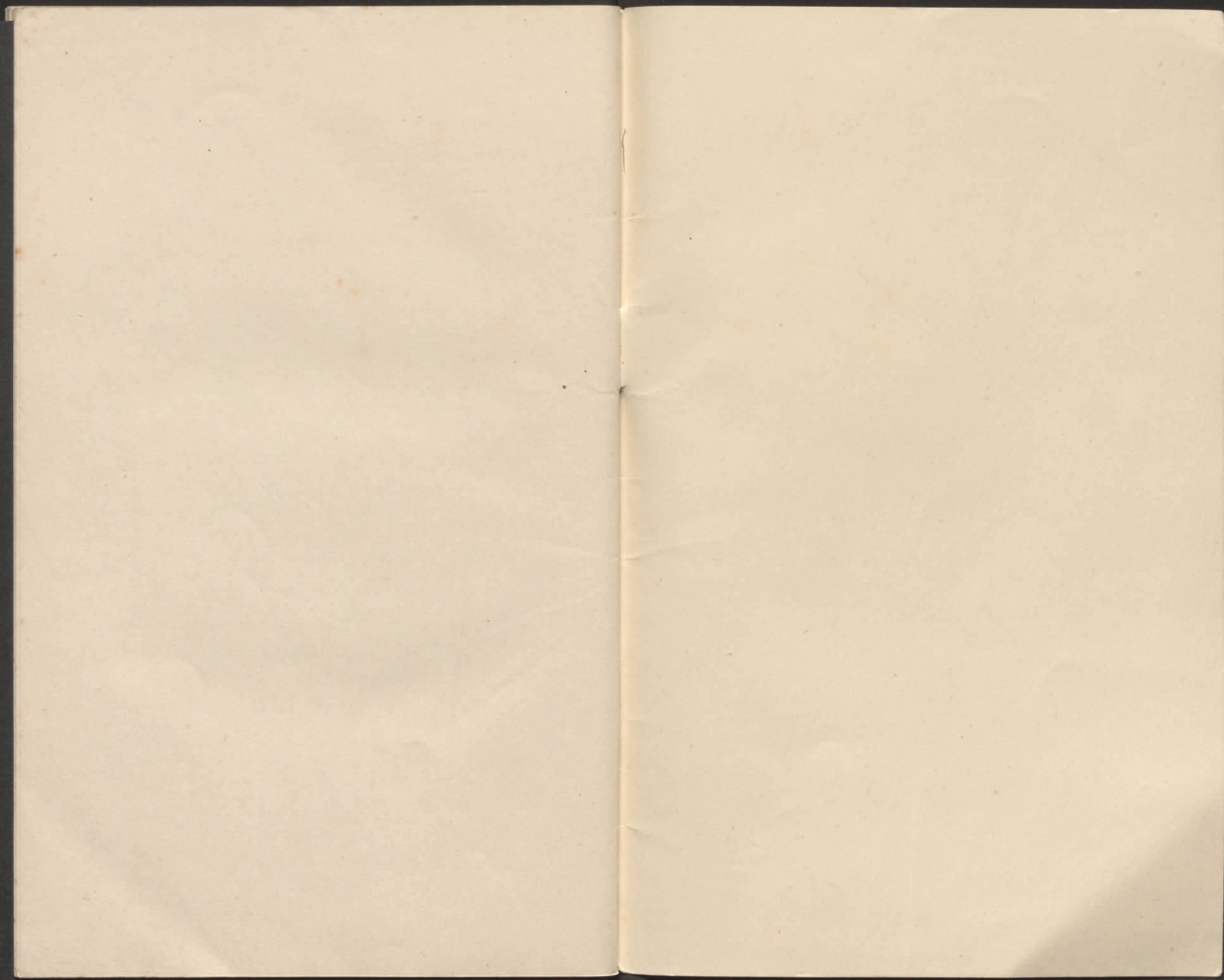
Harleki — jedna z zabaw ludowych, w której dzieci wzięły się do gry. Wzięły one nadzieję, że zwyciężą nad ciemnymi siłami.

Przy — jedna z zabaw ludowych, w której dzieci wzięły się do gry. Wzięły one nadzieję, że zwyciężą nad ciemnymi siłami.

Rey August, jedna z zabaw ludowych, w której dzieci wzięły się do gry. Wzięły one nadzieję, że zwyciężą nad ciemnymi siłami.

Monstrator jeden z zabaw ludowych, w której dzieci wzięły się do gry. Wzięły one nadzieję, że zwyciężą nad ciemnymi siłami.





Arch. Emigracji
Biblioteka
Główna
UMK Toruń

1383379

Biblioteka Główna UMK



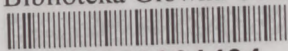
300020931494

Arch. Emigracji
Biblioteka
Główna
UMK Toruń

1383379



Biblioteka Główna UMK



300020931494